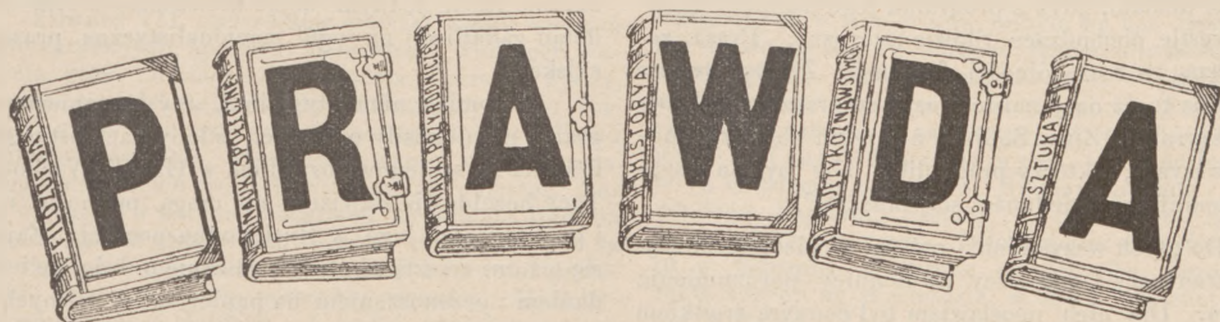
Nr. 27 (1537). Warszawa, 2 lipca 1910 r. **Rok XXX.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na 3-ci kwart.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Przed słowiańskim świętem.

Dobiega drugi rok od zjazdu słowiańskiego w Pradze i zbliża się zapowiadany zjazd w Sofji. W ciągu dwuletniego okresu oddzielającego oba święta solidarności słowiańskiej, neoslawizm przeszedł przez wszystkie przewidziane okresy rozkładu, aż po opadnięciu sztucznych przymieszek wydzieliły się z niego najistotniejsze pierwiastki, które mu dały początek: zachłanność nacjonalizmu rosyjskiego i — czerpiąca w nim źródło popularności i siły — rywalizacja Rosji z Austrją na Półwyspie Bałkańskim.

Odczynnikiem dla tego procesu chemicznego, były zasady wytyczne przyjęte przez zjazd praski pod naciskiem polskich postępowców. Równouprawnienie i uszanowanie wolności i samoistności wszystkich narodów słowiańskich przyjęte jako warunek jedności i braterstwa — mogło zyskać tylko nieszczerą i wymuszoną aprobatę pp. Bobryńskich, Iskrickich, Filewiczów, Wergunów i t. p. Każda wzmianka o zasadniczych postulatach zjazdu praskiego musiała ich wytrącać z równowagi, gdyż godziła w fundamenty gmachu ich marzeń i planów politycznych, zwracając ostrze neoslawizmu przeciw temu państwu słowiańskiemu, w imieniu którego gotowi byli wszystkich braci Słowian jak najmocniej do łona przyciskać.

Na sposób praski pojmowany neoslawizm z panslawistycznymi ideałami rosyjskiego nacjonalizmu — jak z góry przewidywano — musiał stoczyć decydującą walkę, o wyniku nie pozostawiającym najmniejszej wątpliwości. Dla żywiołów, któreby w myśl ideałów równości, wolności i braterstwa gotowe były zawrzeć sojusz, neoslawizm był zupełnie zbytecznym hasłem. Gdzie zachodzi tak głębokie pokrewieństwo duchowych dążeń, szczepowe powinowactwa lub różnice nie mogą grać poważnej roli. Dowodem są choćby nacjonaliści rosyjscy, którym ich panslawizm całkiem nie przeszkadza bratać się z biurokracją niemiecką na wewnątrz, a z hakatyzmem pruskim z zewnątrz.

Kto tego nie widział przed dwoma laty, tego dwuletnie doświadczenia otrząsnąć musiały ze wszystkich złudzeń. Kto w polityce nie ma oczu ku patrzeniu, a choćby rąk ku macaniu, ten wtedy dopiero schodzi z fałszywej drogi, gdy głowę o mur rozbije. Takim rozbiciem głowy o mur w rosyjsko-polskiej komisji pojednawczej skończyła się neosłowiańska misja pp. Dmowskiego i Straszewicza. Można było z tej imprezy wycofać się wcześniej bez guza; przecież i przed tym było czym oczy przetrzeć.

Tymczasem rozczarowanie zdążyło ogarnąć już szersze kręgi niż te szczupłe zresztą, jakich dotknęła neosłowiańska złuda w społeczeństwie polskim. Za przykładem Polaków wycofało się od Zjazdu Sofijskiego i wielu bardzo Czechów. Wszystkie istotnie postępowe żywioły Rosji, począwszy od kadetów do Towarzystwa kultury Słowiańskiej wyrzekły się wszelkiego wspólnictwa z tą maskaradą braterstwa, która przenosi swą akcję bezpośrednio z uciśnionej przez Polaków Chełmszczyzny do niezawisłej wyzwolonej z tureckiego jarzma Bulgarji i bez zająknięcia jednym tchem głosi tu konieczność ostatecznego zdławienia polskości — tam zaś silnej obrony wolności słowiańskiej przeciw grożącym jej z zewnątrz potęgom.

W poczuciu tego krzyczącego fałszu nie chcąc się zrzec udziału Polaków, lekarze słowiańscy prze-

nieśli zamierzony w Sofji zjazd do innego miasta. Nie dość na tym; w Bulgarji samej podnoszą się już dziś głosy protestu. Słynny literat bułgarski Todorow ogłosił list otwarty oświadczający, że w kongresie nie weźmie udziału, gdyż z programu jego usunięto główne kwestje obchodzące Słowiańszczyznę. Prasa zagraniczna, w szczególności francuski *Temps*, zwraca uwagę na to, iż nacjonaliści rosyjscy przez swą błędną politykę rozbili Zjazd Sofijski, nad czym ubolewać mogą ci wszyscy, „którzy pragnęliby, aby był on wspaniałą manifestacją jedności słowiańskiej".

Do „tych wszystkich" należą w pierwszym rzędzie francuscy i angielscy zwolennicy porozumienia z Rosją. Dla nich neoslawizm był cennym środkiem spotęgowania znaczenia sprzymierzeńca i jego wpływu na politykę zagraniczną. Dzięki jemu otwierała się droga do szachowania trójprzymierza na Bałkanach, — a Zjazd w Sofji miał obok braterstwa słowiańskiego zadokumentować jednomyślną dążność Słowian południowych do opierania się o Rosję.

Zapewne dla przeciwważenia i uprzedzenia tego druzgocącego efektu sędziwy cesarz Franciszek Józef zdecydował się na uroczysty objazd anektowanej Bośni i Hercogowiny, a owacyjne przyjęcie, jakiego doznał, świadczyło, iż był to krok zręczny i dobrze obmyślony.

Wiedział wytrawny i doświadczony władca, że swobody polityczne udzielone ludom anektowanych krajów staną się najpewniejszym mostem pojednania, a zarazem utorują mu mocno obwarowaną drogę w głąb spornego Półwyspu.

Panslawizm rosyjski do analogicznych celów bieży innymi torami. Wybiera on chwiejne kładki i grząskie ścieżyny bardzo ślizkich sztuczek politycznych. Pod opiekuńcze skrzydła grafa Bobryńskiego i biskupa Eulogjusza, prócz włościan chełmskich, którzy zresztą źle wydali lekcję, bo zamiast zmiany granic guberni domagali się ziemi i pastwisk, uciekła się i deputacja „Rosjan" galicyjskich uciśnionych przez Polaków w tej samej mierze co tamci.

Na jakiej drodze nasi apostołowie Słowiańszczyzny spróbują użyć niedoli tych braci, jakich hr. Bobryński użyje sposobów, by „ujarzmioną Ruś Czerwoną" równouprawnić z „Rusią Chełmską" i wszechbarwne Rusie jednym objąć uściskiem—o tym milczy dotąd gadatliwa na ogół nacjonalistyczna prasa rosyjska.

Natomiast niema tygodnia, aby zagraniczne telegramy nie donosiły o nowych zdobyczach istnego polowania na szpiegów rosyjskich w Galicji Wschodniej, Tacy heroldowie slawizmu nie mogą podnosić uroku i popularności jego w Rusi Podkarpackiej. Zajmują się też oni zresztą nie tyle torowaniem dróg, ile ich badaniem i przenoszeniem na papier, co w pewnych warunkach także pożytecznym okazać się może, jednak nie dla braterskich celów.

Dzięki tak niepomyślnym konjunkturom zjazd w Sofji zamanifestuje przed światem nie tyle jedność słowiańską, ile stojące jej na przeszkodzie szkopuły i to właśnie ze strony narodu, sięgającego po przywilej patronowania temu zjednoczeniu.

W gwarze bankietów, w liryzmie toastów, wśród entuzjastycznych okrzyków ludu upojonego świeżo zdobytą niepodległością—na razie zniknie wszelka troska, a myśl o nieobecnych pójdzie w zapomnienie. Ponieważ jednak bankiety mogą być akompaniamentem akcji politycznej, lecz jej nie zastąpią, tak jak manifestacja siły nie zastąpi jej samej, nie można przypuszczać, aby znaczenie kongresu sięgnąć mogło poza Sofję i przetrwać dni świąteczne.

Słońce dni lipcowych błyskać będzie z poza chmur wiszących nad Bałkanami, a jeśli się burza rozpęta, wyjdą z niej zwycięzko ci, co się najlepiej przygotowali, nie zaś ci, co ucztowali najweselej.

I. Moszczeńska.

---

3)

Remy de Gourmont.

KULTURA IDEJ.

Z psychologji pogaństwa.

III.

Wszelkie choroby miały pośród niebian swych lekarzy, wszelkie rzemiosła — opiekunów. Św. Augustyn wyszydza małość owych bóstw, sprawiających tak poziome czynności; atoli żyjąc dzisiaj, przestałby szydzić. To, czego nienawidził on wówczas z taką zapalczywością, najspokojniej panuje obecnie pod osłoną i w imię tego samego Boga, który ogniem natchnął jego satyrę.

Bogi-lekarze		Święci-lekarze
Priap	bezpłodność, niemoc	Św. Wit
Apollo	— Mór	Św. Roch, Św. Sebastjan
Herkules	— Epilepsja	Św. Walenty
Iuno	— Bóle porodu	Św. Małgorzata
Vibilla ułatwia znalezienie drogi zbłąkanym podróżnym		Św. Antoni Padewski uczy odnajdywać zgubione przedmioty.

Wykaz powyższy jest tylko drobnym ułamkiem całości. Możnaby prowadzić długo jeszcze linje owej równoległości, z mniejszą lub większą dokładnością. *Febridzie*, oddalającej gorączkę; *Rubigowi*, chroniącemu zboża od rdzy; *Sterkucemu*, czuwającemu nad żyżnością nawozu; *Orbonie*, wspierającej sieroty, przeciwstawiono wspaniałą listę imion, na podobnej grze wyrazów opartych.

Św. Bonawentura	chroni	od złego wypadku
Św. Klara	—	od ślepoty
Św. Klaudjusz	—	od utraty nóg
Św. Bonifacy	—	od utraty tuszy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Le roi est mort, vive le roi!

Edward VII, opuszczając ziemski padół knowań dyplomatycznych, opróżnił stanowisko wielkiego wodzireja, który na szachownicy świata przesuwał figury, a zawsze ku większej chwale zmierzających ku imperjalizmowi dążności nowoczesnego industrjalizmu wielkobrytańskiego. Bez odwoływania się do oręża, drogą umiejętnych zaszachowań umiał wysunąć Anglję na przód w chórze mocarstw: dyplomata szedł na przedzie, badał możliwości, usuwał przeszkody, a za nim ciągnął najpospolitszy John Bull i utrwalał posterunki, zwane w mowie potocznej rynkami. Mało było dymu, a sporo skutków. I bodaj w zmiennym kalejdoskopie nastrojów ogarnęła Wilhelma II chętka pójścia w ślady śmiałego dyplomaty. Junkier do szpiku kości, posługiwał się środkami bardziej dostrojonymi do swojego animuszu kirasjerskiego. Ale jest to kirasjer z okresu modernizmów, rozdwojenie jaźni jest w nim rzeczą zwykłą. Sięgał po wawrzyny muzyka, bodaj teraz uśmiecha się mu nagroda z zapisu Nobla jako piastunowi pokoju... Zdaje się, iż w Londynie, podczas uroczystości pogrzebowych, zapragnął zagarnąć stanowisko po Edwardzie VII: matacza, który ze słowami pokoju na uściech dokonywa podbojów. W owym czasie sporo mówiono o jego rozmowie z Pichonem, a nawet wróżono możliwość nowego przymierza: alliance Franco-allemande! Samo zestawienie wyrazów pozostawia wrażenie czegoś potwornego, ale ostatnie dziesięciolecie w. XIX przyuczyło nas do sojuszów jeszcze potworniejszych. Potworność — ale z jakiego punktu widzenia? Giełda dyplomatyczna pozbawia dawnej wartości jedne pojęcia, natomiast innym nadaje wartość i to bynajmniej nie w imię kaprysu czyjegoś. Jak wszelka giełda, tylko stawia stawkę na to, co ma i mieć będzie poparcie życia. Z jej stanowiska nie ma potworności, jest tylko obrachunek, nie ma brudu, jest tylko wygrana lub przegrana. Bourgeois francuski i junkier niemiecki mogą puścić w niepamięć wiele uraz wzajemnych, jeśli tego wymagać będzie wielkość Vaterlandu i sława patrie ukochanej — wielkość i siła mierzone według miary codziennej: zysków materjalnych. A więc potworności nie będzie w sprzężaniu franko-allemandzkim. Może zawcześnie łudzono się nadzieją sojuszu takiego, ale że obie strony nieco poflirtowały, nawzajem uskuteczniły reweranse różne, okoliczność ta jest niewątpliwa. W każdym razie reweranse te odbiły się na spokojnym przebiegu rokowań o Marokko, co do którego pozostawiono „Francji", t. j. Francji mającej interesy kolonialno-rynkowe, poniekąd wolną rękę; sprawa rozgraniczenia wpływów wzajemnych w Kamerunie odbyła się bez tarcia, bodaj doszło do skutku alliance franco-allemande w zakresie giełdy walorów papierowych — papiery niemieckie otrzymały prawo kotyzacji na giełdzie paryskiej. I trzeba to zaznaczyć, iż w interesie „Niemiec" — i znowu bierzemy wyraz ten w cudzysłowie, bo są to Niemcy urzędowe, Niemcy junkrów i możnowładców kapitału, Niemcy v. Stummów i Bismarcków — leży stworzenie dokoła siebie atmosfery pokoju w Europie. Pożerane są potrzebą zapewnienia sobie pozycji na Wschodzie, w chwili obecnej zwłaszcza w Persji. Tam, pomiędzy przyjaciółmi dotychczasowymi: Anglją i Rosją powstały kwasy niejakie. Czy przez Francję nie dałoby się zadziergać z Anglją sojuszu, takiego krótkiego, choćby na miesiące obliczonego, któryby umożliwił zajęcie tam posterunku „cywilizacyjnego" dla articles de Saxe? Oto rdzeń istotny uśmiechów i reweransów wzajemnych. Tak życie chce i ku temu prze! Ale Wilhelm II jest poetą, jak był nim Tartarin z Taraskonu. Umie on połknąć rzeczywistość, a połknąwszy ją wysnuwa fata morganę poezji, utkaną z pierwiastków życia, ale tak eterycznych, iż jak gdyby tego żywiołu materjalnego wcale nie było. Jak owa dziewczyna, co urodziwszy dziecko, twierdziła, że jest panną, ponieważ niemowlę było takie maleńskie, malusieńkie. A w tej fata morganie może uśmiechają mu się obrazy przymierza poczwórnego: Austrji—Francji—Anglji—Niemiec, może wawrzyny dobroczyńcy, który zabezpieczył ludom pokój — aż do nowej zmiany nastroju, może zaćmienie sławy Edwarda VII, wreszcie może nagroda Nobla. Aura perska wróży, że nastrój będzie stateczniejszy, niż zwykle bywa u Wilhelma II—der plötzliche Kaiser, jak grzecznie mówią Niemcy.

Aura perska! Ale na Wschodzie istnieje i inna aura: albańska. Vae victis! Albańczycy w pełni całej poczuli żelazną dłoń zwycięzcy. Całe wsie w perzynę i zgliszcza obrócono, i to nietylko w dzielnicach, które były czynne podczas ruchawki, ale nawet w Starej Serbji, podejrzywanej jeno o sprzyjanie rokoszanom i popieranie. Sądy wojenne działają z całą bezwzględnością, jaka im przystoi. Nawet zasiewy na polu są traktowane jako wróg, którego należy unicestwić. Redaktorowi jednego z dzienników serbskich zagrożo-

---

W symbolizmie chrześcijańskim św. Jerzy ze swym smokiem zastąpił Herkulesa z Hydrą; Appolina, grającego na lirze, wyrugowała św. Cecylja; Bakchus zamienił się w Św. Wincentego; Wulkan w Św. Eljasza; Jowisz Amma w Mojżesza o świetlistych rogach. Podobnie jak niegdyś Djana rządziła w Efezie; Minerwa w Atenach; Wenus na Cyprze, — tak dzisiaj Św. Eligjusz opiekuje się Antwerpją, Św. Marek Wenecją, Św. Wacław Czechami. Ta sama rasa, ta sama psychologja, ta sama religja; jest to następstwo nieuniknione.

Najstarożytniejszy kościół w Neapolu zbudowany został na gruzach dawnej świątyni Artemidy; Madonna tedy przejęła na siebie cały kult starożytnej bogini, swej poprzedniczki, podobnie jak w Pauzylippie odziedziczyła kult po *Venus Euplua*.

Antinous, ubóstwiany przez Hadryana, dla którego zginął, został uczczony w Neapolu świątynią; Św. Jan Chrzciciel, który także śmierć poniósł dla swego Pana, zastąpił z czasem miejsce cesarskiego ulubieńca. Ten jeden przykład wystarczałby już dla wykazania; jak dalece idea religijna nie zgadza się z ideą moralną; niekiedy są to pojęcia wprost przeciwne sobie.

Nad zatoką Tarencką stała w czasach starożytnych świątynia, poświęcona Herze, słynąca z cudów pośród całej kolonji greckiej, która pod mury jej ciągnęła w licznych pielgrzymkach. Pod rządami Rzymian, Hera przeobraziła się w Junonę Lucinę, wreszcie zaś, w piętym stuleciu biskup Lucifer Junonę przemianował na Marję. Saraceni w następstwie zburzyli przybytek chrześcjański. Wszelako Afrodyta króluje dotąd na szczytach Eryksu, gwarnego od rojów gołębi, zawsze uważanych za święte; przybrała ona jednakowoż imię Madonny: nawet boginie bowiem, aby zachować młodość i urok, muszą jak wszystkie kobiety, ulegać modzie.

Religje, podobnie jak języki, wiązały się w systemy i nabierały barw miejscowych, urzeczywistniając pewną logikę wewnętrzną, którą nauka może rozbierać na pierwiastki, ale której nie potrafi ani przekształcić, ani opanować.

Kraje, w których chrześcijaństwo zaszczepione zostało na pniu barbarzyńskim, skłaniają się ku protestantyzmowi.

Wszelkie zaś kraje, w których ziarno ewangelji padło na grunt kultury grecko-romańskiej skłaniają się ku katolicyzmowi.

Tam ewangelja nie znalazła przeciwwagi w cy-

no odesłaniem go na łono praojca Abrahama, jeśli nie zaprzestanie wydawania pisma, o grzechach którego nic powiedzieć nie umiemy. Może grzechem jest samo istnienie jego, bo i takie grzechy zdarzają się na świecie. Turcja przywdziała na siebie strój konstytucyjny. Była z tego powodu wielka radość w Betleem idealistycznym, które zawsze wierzy w moc czarowną wyrazów, rot i dekoracji. Ale stosunki wszystkie, a nadewszystko samo podłoże codzienne pozostało tam nader pierwotne. I bodaj zasadniczym celem reformy było wzmocnienie synekury tureckiej wśród ludów Bałkanu, podważonej mocno przez niedołężne a samowolne rzędy Hamidów. Strój ów ładnie wyglądał i był włożony w sposób tak rozsądny, iż warchołów całego świata prasa nasza nawoływała, ażeby stamtąd brali przykład i wzory mądrości wszelakiej. Ale zapomnieli, że właśnie taka prostota przewrotu tureckiego świadczy najwymowniej o niedojrzałości i pierwotności stosunków tamtejszych i w istocie rzeczy zwiastuje hołdowanie dawnym zwyczajom w nowej etykiecie. I starczyło okazji albańskiej, ażeby z pod przebrania nowoczesnego wynurzył się janczar starodawny, który dzisiaj dokazuje, jak dokazywał za dobrych czasów w. XVIII i XVII.

Na zakończenie nieco zdarzeń pomniejszych.

Senat Stanów Zjednoczonych na wniosek wydziału spraw zagranicznych uchwalił mianować pięciu wybitnych obywateli do traktowania z rządami zagranicznymi w sprawie trwałego zabezpieczenia pokoju wszechświatowego.

Innymi słowy, gra w naiwnego.

W Hiszpanji zapowiedziano reformy w duchu liberalnym. To znaczy, według zwyczaju tamtejszego, iż rzeczy pozostaną jak istniały, jedynie dla przyzwoitości będą nieco skrojone inaczej. Watykan zrobił kwaśną minę nawet na taką igraszkę. Sint ut sunt — niechaj wszystko będzie jak jest, bo nawet ogórków wiszących u pasa mnichów nie wolno poddawać reformie. Innymi słowy, ślepy chce prowadzić kulawego.

W Anglji odbywa się poufna konferencja obozów liberalnego i zachowawczego w celu jakiegoś załatwienia zatargu pomiędzy obu Izbami. Rokowania są trzymane w wielkiej tajemnicy.

Innymi słowy ktoś kogoś sprzedaje: liberał angielki frymarczy prawami ludu.

Z powodu wychodźstwa

Rzeczpospolita ginie! — wołali przed stu kilkudziesięciu laty nasi przodkowie i dyskutowali, radzili, zakładali stowarzyszenia mające na celu poprawę „miłej ojczyzny", zdobyli się nawet na tak pomnikowe dzieło, jak Konstytucja Trzeciego Maja, a Rzeczpospolita się rozsypała.

Lud emigruje! wołają społecznicy. Mówią o tym bardzo wiele, piszą, zakładają stowarzyszenia, a lud, jak rzeka, a raczej jak rzeki opuszcza stary kraj i płynie: i do Stanów Zjednoczonych Am. Pół. i Kanady, i różnych stanów Brazylji, i Argentyny, i Czyli, i nawet do tajg Sybirskich. Płynie w różne kraje świata, by swym potem użyźniać puszcze i stepy dla obcych kultur, by swe zdrowie i energję wydobytą z pól Polski przetwarzać na pieniądz dla obcych, a my wołamy, krzyczymy, lamentujemy, ale to, w co zresztą po dwudziestoletnim doświadczeniu z trudnością wierzyć zaczynamy, emigracji nie powstrzyma. Lud wychodzić musi, a przyczyną tego nietylko nędza, boć przecież dawniej ludowi lepiej nie było, a nie emigrował, ale lud wychodzić musi, bo się przebudził. Jemu już stare prawdy nie wystarczają, dawne horyzonty mu się sprzykrzyły. Na miejscu mu jakoś nie swojo, tęskno, głodno, więc rusza w świat, bodaj na Sybir, bodaj do nieznanego Chili, Afryki lub Australji. Społeczeństwo łamie ręce, że lud ginie i zakłada kantory najmu służby, by różnym cudzoziemcom ułatwić wyszukanie parobków i dziewek. A czy społeczeństwo się zastanowiło nad tym, co to jest służba i zwłaszcza służba u obcych? Czy społeczeństwo myśli, że z obczyzny napływają do Polski za służbę tylko marki, franki, lub dolary? Że Wojtki i Kaśki z pieniędzmi przynoszonymi z obczyzny przynoszą tylko nowe ubranie? Nie! Oni jeszcze przynoszą... spodloną niewolniczą duszę. Przynoszą nieświadomą głęboko w sercu tkwiącą pogardę i żal do ojczyzny, która ich na poniewierkę wysyła. Oni się stają, pomimo nawet nabytych gospodarstw za pieniądze zarobione u obcych nowożytnymi „sclavi", a dla narodów, składających się z tego typu mas już teraz bardzo ciasno na świecie, a niedługo zabraknie miejsca.

Czyż więc nie ma być biur pośrednictwa pracy?

---

wilizacji wcześniejszej; tutaj zaś pochłonięta została przez kulturę potężną i dojrzałą.

Spójrzmy na mapę Europy. Teorja nasza potwierdzi się na całym jej obszarze, z wyjątkiem kilku drobnych wysepek; nic jednak dziwnego, że historje poszczególne nie mieszczą się w ramach powszechnych uogólnień.

Na podstawie owych uogólnień dałoby się wytłumaczyć również podział Wschodu między katolicyzmem greckim a religją prawosławną: ta ostatnia bowiem w istocie stanowi nic innego, jak protestantyzm ustawicznie wrzący, zawsze gotów do podkopania gmachów autorytetu.

Grecko-katolicyzm rozpowszechnił się w krajach o przewadze tragycji romańskiej lub bizantyjskiej; religja prawosławna utrwaliła się pośród barbarzyńców.

Francja, aczkolwiek nie jest ziemią łacińską, jest krajem zromanizowanym; oryginalność swą może utrzymać, jedynie, pozostając katolicką, t. j. pogańską i romańską, t. j. antyprotestancką. Zresztą, zmienić się w kraj protestancki przyszłoby jej z nie mniejszą trudnością, niż zmienić się w kraj angielski lub turecki. Jest to fakt o niepokonanej, niemal urągliwej sile, o którą wiecznie rozbijać się będą wszelkie zamachy nawrócicieli. Należy drwić z ich wysiłków, należy jaskrawo przeciwstawiać dymom ich ciężkiej moralności słoneczny blask pogaństwa, które gotowe jest śmiać się ze wszystkiego, prócz życia.

Skoro pominąć formy przechodnie i miejscowe, to zgodzić się możemy, że od wieków istniała jedna tylko religja, religja gminu, niewzruszona i niezmienna, jak samo uczucie ludzkie. Zmianom ulegał tylko duch religijny, t. j. sposób tłumaczenia lub zaprzeczania symbolów; zmiany te wszakże odbywają się w głować ludzi, którzy naprawdę religji nie potrzebują, ponieważ lubią rozumować. Prawdziwa religja bywa przedmiotem wiary, nie zaś tematem do sporów rozumowanych. Ujmujemy ją w doświadczeniu bezpośrednim, nie zaś w historycznych lub filozoficznych dowodzeniach. Czy pielgrzymujący kalecy zostali cudownie uzdrowieni w Efezie, albo w Lourdes, czyli też nie? Oto pytanie, które dla świadków naocznych nie istniało. Wszelkie pojęcie prawdy, choćby nawet prawdy względnej, winno byc z docickań religijnych usunięte. Religja jest albo użyteczna, — i żyje; albo bezużyteczna, — i umiera. Religja prawdziwa jest rodzajem lecznictwa; lecz sięga ona dalej, leczy choroby głębsze i zapomocą środków pierwotniejszych, niźli medycyna naturalna. Leczynawet niedocieczoną niespokojność ducha natur prostych; i to jest rzeczą piękną. Wszelkie środki są dla niej dobre; to prawda; lecz to, co pożytek przynosząc jednostce, nie szkodzia zrazem ogółowi, nie bywa rzeczą złą.

Drwić z przesądów religji, lub nawet je przeklinać, znaczy to — zdradzić się z przynależności do ja-

Niech będą! ale nie należy ich działalności podnosić do wyżyn pracy narodowej i obrony interesów ojczyzny. Niech sobie istnieją, bo istnienia ich domaga się wprost uczucie humanitarne, a przy dobrym prowadzeniu nawet interes finansowy, ale nigdy dobro i interes narodu! Biura mające na celu pośrednictwo pracy nie odpowiedzą istniejącej potrzebie emigracji mas i porzucania starych siedzib. My musimy uregulować wychodźstwo osiedleńcze, jeżeli nie chcemy stracić bezpowrotnie najbardziej twórczej części ludu. Ale nasza straszna kastowość w najdonioślejszych i najkrytyczniejszych chwilach nie pozwala nam zejść do głębin ludowych i z nimi działać. W żadnym ruchu emancypacyjnym nie schodziliśmy do mas. Tak było w epoce najświetniejszego rozwoju Polski, tak w chwilach jej upadku, tak teraz w dziejowej doniosłości dobie emigracji ludu. Wszystko chcemy załatwić z góry, teoretycznie, bez wniknięcia w potrzeby narodu. Każdy z nas, a w najlepszym razie grupka uważa się za naród ignorując masy. Stąd też i nierozumienie ruchów, jakie się objawiają w ostatnich latach śród ludu i bezradność i niedołęstwo kierowania nimi. Stąd nieumiejętność korzystania z nadających się sposobności i okazji. Rząd nap. brazylijski daje [1] obecnie darmo przejazd przez ocean i na zakładane kolonje, do stanu, który sobie obierze imigrant, oraz na bardzo dogodnych warunkach 25 hektarów ziemi i robotę przez 10 miesięcy przy drogach na kolonji, by emigranci mogli zarobić na wikt aż do zbiorów. Społeczeństwo polskie o tych warunkach wie, lecz zaledwie od niechcenia o tym wspomniał *Pol. Przeg. Em.* Inne pisma, a szczególniej ludowe, które pisać powinny o takich rzeczach — milczą, bo to przecież zbrodnia, by chłop opuszczał prochy ojców i szedł gdzieś do dalekiej Parany tworzyć nową ojczyznę, a powstrzymać tego ludu, by nie szedł do tajg sybirskich, gdzie jest rozmieszczany grupkami po kilka rodzin wśród obcej sobie i wrogiej ludności, nie mogą, a przecież to tak łatwo! Należy tylko ludowi prawdę mówić i pisać o Paranie oraz warunkach jej kolonizacji. Nie trzeba chłopa straszyć, że tu go tygrysy rozszarpią, węże żywcem zjedzą, żółta febra zabije, bo o tym my tu mieszkańcy Parany nic nie wiemy ani słyszymy; wiemy natomiast, że każdy chłop rolnik (nie chorowity ekspedjent pisma) po paru latach pracy dochodzi do dobrobytu, a po kilkunastu i do zamożności. Wielu mamy takich kolonistów, którzy pracując *tylko na roli*, obecnie, po dwudziestu paru latach pracy mają osady wartości do trzydziestu tysięcy rubli i co najważniejsza, — duszę wolną, niezależną, a nie pańszczyźnianą, ale my się o tym pisać i mówić boimy, bo co by się stało z naszą kastowością, gdyby nie było chłopa takiego, jakim on jest? Mówimy, że bronimy ojczyzny od wyludnienia, od zalania jej przez Niemców, bo jak chłop opuści rolę, to ją Niemiec kupi, tak, jakby ci co kraj opuszczają, rolę Niemcom oddawali? Przeciwnie oni dają tylko możność pozostałym pracować ekspansywniej i nie pozwolić by panowie ziemię Niemcom sprzedawali, a sami ją wykupują, ale chłop bogaty robi się niezależnym. Umie siebie cenić i swą pracę, więc ktoby się płaszczył i ulegał?

W pamiętnym okresie „gorączki brazylijskiej", kiedy to w każdej chacie mówiono o cudach, tej rzeczywiście cudnej ziemi, była chwila wyjątkowa i możność skoncentrowania w Paranie całego naszego wychodźstwa, które wtenczas liczyło wiele tysięcy rodzin. Rząd brazylijski sypał pieniędzmi i chętnie dawał posłuch wszelkim radom i wskazówkom. Europejczyk, a jeszcze przedstawiciel, jakiegoś nawet prywatnego stowarzyszenia, to była wielka figura. Istniała już wtenczas odpowiednia literatura niemiecka, doskonale opisująca południowe stawy Brazylji, a więc i Paranę. Należało tylko chcieć zająć dla polskiej kolonizacji najpiękniejszy z krajów. Należało wysłać ludzi, którzyby nie dopuścili, by chłop na chybił trafił wybierał sobie tajemniczo brzmiący stan Maranhoło lub pobożnie św. Pawła, św. Ducha, lub św. Katarzyny, a szedł do Parany, gdzie już była [2] garść doskonale się ma-

[1] Gdy to piszę, po paromiesięcznej przerwie w sprowadzaniu emigrantów na swój koszt, obecnie rząd brazylijski czyni to dalej. Jak długo jeszcze emigracja rządowa potrwa — nie wiadomo. Zależy to od liczebności w jakiej będą napływać imigranci.

[2] Najstarsza polska kolonja w Paranie — Pelarsinha pod Kurytybą. Osiedlili się tam wychodźcy polscy z pod Gdańska przed 40 laty. Młodsza z przed 34 lat — Thomas Coelho, zamieszkała przez polskich kolonistów pochodzących z Galicji z pod Gorlic i Jasła i w nieznacznej liczbie przez Szlązaków.

---

kiejś sekty, choćby utajonej. Na pewnej wysokości, ponad obszarami psychologji pospolitej, poczytuje się za fakty tego samego szeregu *Ojcze nasz* oraz *Modlitwę do Świętego Apollina przeciwko bólowi zębów.* Z chwilą, gdy tworzy się wierzenie, powstaje równocześnie przesąd. Trzeba się z tym zgodzić i nie próbować nazbyt ograniczać dziedzinę absurdu. Kiedy Luter, zgłębiwszy Pismo święte, ogłasza że istnieją trzy tylko sakramenty, przemawia przezeń umysł mały. Liczy on kamyki, jakie mały chochlik schował w swej kieszeni, i zastanawia się, czy są z granitu, czy z piaskowca? Róża, która, przemówiła, jest-li herbatą czy ruchem? Na polu zagadnień podobnej doniosłości rozgrywają się spory religijne.

Katolicyzm ludowy odzyskał w barwnej dziedzinie przesądu cały ów dawny teren, jaki niegdyś ustąpił był racjonalizmowi, pod smętnym wpływem Reformacji. Przed oczyma naszymi rozkwita cała mitologja; nie otrzymała ona od poezji uroku legiend greckich; atoli dzięki temu właśnie lepiej służy zadaniom nauki, gdyż mniej jest zniekształcona. Rozsądniej byłoby, jak mniemam, zapoznać się z nią, niż ją wyszydzać. Zali szydzimy z niedorzeczności czynów bohaterskich Herkulesa?

Powstaniu Trójcy bożej poświęcono wiele doskonałych dysertacji, atoli nie zwrócono uwagi, że w ostatnich sześciu lat dziesiątkach, a nawet później, prawie w oczach naszych, ukazały się dwie trójce nowe; wystąpiły niemal mimo wiedzy tych, którzy je stworzyli, powodowani niepokojem żarliwości religijnej. Nowi święci, nowi bogowie, wyłonili się z mroku, niepostrzeżenie dla oka tych, którzy piszą dysertacje o pochodzeniu bóstw. A jednak teraźniejszość tłumaczy znakomicie wieki upłynione; to, co nie jest tajemnicze dzisiaj, nie było tajemnicą i dawniej; co jest dzisiaj pierwiastkowym faktem psychologicznym, nie było niczym więcej ponadto w przeszłości.

Nie uczono ludzi dotychczas żyć w teraźniejszości, do czego, zresztą, czują odrazę. Jedni uciekają w przeszłość, co do której posiadamy przynajmniej niejakie wiadomości; inni, stojąc w osłupieniu, spoglądają w ironiczne niebo przyszłości. Ustaliwszy to, co nazywają prawami historji, a co w rzeczywistości jest tylko logicznym skoordynowaniem pragnień ludzkich, przerozmaici marzyciele z powagą wykuwają kształt jutra tych dni, których zapomnieli przeżyć. Jak gdyby przyszłość istniała! Jakgdyby przyszłość można było ujmować jako przyszłość, a życie dało się urzeczywistniać poza obrębem chwili obecnej, poza szrankami sekundy, w której jedynie wrażenie bezpośrednie świadczy o naszym istnieniu.

KONIEC.

jących polskich kolonistów i z nich porobić tłumaczy i instruktorów dla nowoprzybywających, na co rząd by się i zgodził i dał pieniędzy. Rzeczywiście wysłaliśmy ludzi. Pojechał ksiądz, ziemianin i literat. Dwaj pierwsi przywieźli z powrotem do kraju trochę zbiedzonych rodzin emigrantów i pokazywali ich jako dowód kary bożej za opuszczenie ojczystej ziemi matki, (jak gdyby ta ziemia rzeczywiście dla chłopa była matką) a trzeci napisał sentymentalną powiastkę, w której opisując podróż chłopa z St. Catharina do Parany rozpaczał, że biedny kmiotek polski nie zobaczy tu nigdzie wróbla, a łgał, bo właśnie i wróbli tu mamy nie mniej niż w starej Ojczyźnie, a nie napisał, jak chłop, nie znający obcego języka i wystraszony otaczającymi go nowościami ma się wziąść do trzebienia lasów, skąd ma dostać nasion zbóż i jak uprawiać miejscowe rośliny, jak sprowadzić książki i gazety, jak postarać się o zapomogę u rządu na polskiego nauczyciela [3]).

Ale pomimo, że warunki zmieniły się na naszą niekorzyść, pomimo, że lat dwadzieścia straciliśmy, jednakże możemy jeszcze koncentrować się w Paranie, bo stan ten najlepiej nadaje się na polską kolonizację.

Położony jest on pomiędzy $22^1/_2$ a $27^1/_2$ stop. poł. szerokości licząc od Rio de-Janeiro (wliczam w to i terytorjum sporne z St. Catharina) a 5 i $11^1/_4$ dług. Powierzchnia Parany $296{,}319^2$ kilometrów z 400 tysiącami mieszkańców. Oprócz bardzo wąskiego pasa morskiego wybrzeża położonego nizko, gdzie klimat jest gorący, reszta Parany, — to płaskowzgórze. Kurytyba, stolica stanu, leżąca tuż za pasmem gór Serra do Mar, które przechodzą w płaskowzgórze, łagodnie obniżające się na zachód, leży na wysokości 908 metrów nad powierzchnią morza i ma temperaturę maksymalną w cieniu 26,6 c w miesiącu lutym i minimalną 5,6 c w miesiącu lipcu (po wyżej zera). Opad roczny 1496,4 m/m (ze sprawozdania za rok 1907). Ziemia składa się z lasów i stepów na ogół bardzo urodzajna. Udają się w Paranie oprócz wszystkich jarych zbóż znanych w Polsce jeszcze i wszystkie właściwe klimatowi ciepłemu. Z drzew owocowych dojrzewają pomarańcze, cytryny, figi, rosną jabłka, gruszki, brzoskwinie etc. i bardzo się udają świeżo zaprowadzane japońskie śliwki, kaki i t. p. Ciepły i łagodny klimat Parany nie wymaga solidnych budowli, co jest niezmierną oszczędnością dla kolonisty w stawianiu zabudowań, bo byle szałas zlepiony z desek wystarcza. Całoroczne ciepło bardzo przyczynia się do wytwórczości, bo kolonista wciąż ma możność pracowania w roli i produkowania, co jest niemożebne w krajach o surowej zimie. Tam rolnik pół roku skazany jest na przymusowy wypoczynek, a przynajmniej na mniej wydajną pracę. Zaopatrzenie się na zimę (może ono i miało kiedyś znaczenie wychowawcze, ale obecnie narody cywilizowane już wyrosły z potrzeby korzystania z pedagogicznych napomnień zimy) też pochłania moc pracy i energji i to zupełnie bezużytecznie.

Osiedlanie się na stałe na roli w *kraju jak Parana*, ma tę niezmiernie dodatnią stronę, że kolonista uprawiając dzikie do tej pory stepy i puszcze, staje się tych ziem zdobywcą, rośnie w dumę i wartość osobistą. Czuje się panem, a nie wyrobnikiem nowo zdobytej pracą ziemi i wyciska na niej swe piętno, co mu tym łatwiej, że przychodzi do ludności o nizkiej kulturze. Odmienność i bogactwo flory i fauny wzbogacająco wpływa na jego umysł i wyobraźnię, kładąc fundament pod dalszy, bogatszy rozwój rodzinnej kultury.

Słyszałem i czytałem zdania, że nie można tworzyć Polski pod palmami i z tego względu panowie ci wskazują za najodpowiedniejszą dla polskiej kolonizacji Kanadę. Pominąwszy, że inne narody nie obawiają się zajmować dla siebie ziem pod palmami, dodam, że Kanada już z tego względu dla nas jest nieodpowiednia, że pomimo śniegów i mrozów (co się niektórym sentymentalnym opiekunom ludu i społecznikom bardzo podoba) dzięki którym chłop nasz ma możność używania butów z wiechciami i kożucha przypominającego mu „kraj rodzinny", spotyka wysoką anglo-saską kulturę, która zabija w nim polskość. O stworzeniu odmiennej kultury mowy być nie może. W najlepszym razie zdobyć się tam możemy przy nadludzkich wysiłkach, na stworzenie polskiego ghetto, nie pożądanego dla nas i szkodliwego dla ogólnego postępu narodów, jak i ghetto żydowskie.

Brazylja Parana Araukarja. *Ks. Józef Anusz.*

NA DOBIE.

Marcelina Kulikowska.

Grono przyjaciół odprowadziło w d. 22 b. m. na miejsce wiecznego spoczynku w Krakowie Marcelinę Kulikowską, poetkę i działaczkę społeczną. W sile wieku w okresie pełnej twórczości literackiej przerwała wystrzałem w serce pasmo życia, bo jak mówi:

Nie trzeba z życia snuć
Szarych, codziennych nici,
Ale potrzeba czuć
I z czucia wysnuć życie!

Minął okres bohaterskich walk i zapasów, którym poświęciła utwory swoje, „W promieniach" (powieść) i „Dzisiejszym dniom" (cykl poezji), a szare życie nie nęciło gorącej duszy i umysłu, który przedewszystkim wielbił siłę, zapał, ofiarę, szukał głębi, gubił się w dociekaniach absolutu, nękał nieustannie pytaniem dlaczego? w stosuuku do świata i własnej twórczości.

Zmarła urodziła się w 1872 r. Pochodziła z zamożnej warstwy ziemiańskiej, od której odbiegła daleko zarówno w swych na świat poglądach, jak i w ideałach życiowych. Czuła się wolnym duchem nie hołdując dogmatom, mając zawsze odwagę własnych przekonań, nie krępując się należeniem do żadnego stronnictwa, a szukając zawsze prawdy i piękna. Wynikiem tego kierunku umysłu, przejawiającego się od wczesnej młodości były studja przyrodnicze, które Kulikowska ukończyła w Genewie. Nauka nie zadawalała jednak umysłu o kierunku artystycznym i literackich dążeniach. Osiadłszy od lat kilkunastu w Krakowie pracuje na niwie oświatowej, należąc do założycieli i najgorliwszych współpracowników uniwersytetu ludowego im. Ad. Mickiewicza. Jest również aż do ostatnich chwil czynną w Tow. pomocy naukowej dla Polek im. Kraszewskiego. Działalność tą przerywały częste podróże na północ i południe Europy, do Paryża, Szwajcarji, Belgji, gdzie wchłaniała w siebie barwniejsze i bardziej różnorodne wrażenia od tych, która dać mogło życie w Krakowie. W ostatnich latach podróżuje Kulikowska po ziemiach zaboru pruskiego i po Śląsku, a wrażenia z tych podróży drukuje w *Kurjerze Lwowskim*, przeplatając je pięknie ujętymi refleksjami nad przyrodą i ludźmi, a głównie nad stanami własnej duszy.

Od 1906 r. wchodzi poetka nasza w okres intensywnej, a nawet gorączkowej twórczości, zrywa z pra-

---

[3]) Nawet obecnie rząd brazylijski daje przejazd darmo nauczycielowi z Europy, jeżeli nowi koloniści zażądają. Skorzystali już z tego prawa Holendrzy, a Polacy nie. Zdobyli się jednak inteligienci nasi na nowej kolonji Candiolo de Abren na *poddańczy* adres przy powitaniu prezydenta związku i wciągnęli w to kolonistów, by złożyć hołd i uznać nowego władcę. Stanowczo, albo nie jesteśmy społeczeństwem nowożytnym i czujemy nieprzeparty pociąg do jarzma i bata, albo też jesteśmy niedołęgami i pozwalamy kierować sobą ludziom kopalnianym.

cą społeczną, a zagłębia się w studjach historycznych i twórczości lirycznej. Oprócz prac już wyszczególnionych drukuje poemat dramatyczny „Król Bolesław Chrobry" w którego formie przebija się wpływ Wyspiańskiego. Ujęcie całości zdradza tu niepospolitą indywidualność: moment dramatyczny występuje w zmaganiu się postarzałego i opadającego z sił króla z pojęciem władcy, jakie ma on sam i jego otoczenie. Tragizm to czysto wewnętrzny i dla umysłu poetki bardzo znamienny;

> Czemu ty czarne nieszczęście
> Chodzisz po świecie?... powiada
> Przed tobą życie wszelkie się trwoży...
> Radość przygasa
> I w dal ucieka...
> A tyś obrało jedno mieszkanie:
> *W sercu człowieka...*

Liryzm Kulikowskiej zajaśniał swoistym blaskiem w ostatnim z drukowanych już tomików „Dusze kobiece... — Serca kobiece..." (pierwotnie drukowane w *Sterze*). Poetka w jednej z liryk „Bujna" charakteryzuje sama siebie tak trafnie, że trudno bodaj dwuch strofek nie przytoczyć:

> Duszno mi, źle mi, ciasno, W przestworza lecić chcę!
> Duszę chcę rozpiąć własną, Na złotym rozpiąć śnie!
> W płomienne patrzeć twarze, I żar i ogień pić!
> I o wyżynach marzę, Chcę żyć, Chcę żyć, Chcę żyć!

Pozostałe w tece liczne rękopisy pozwolą niewątpliwie wszechstronniej poznać niezwykłą indywidualność zgasłej poetki i ocenić te trwałe wartości, które wniosła do literatury, choć będzie to już dla Niej osobiście — za późno.

zdg.

Amputacja D. Mereżkowskiego w Warszawie.

Gdyby ktoś przed laty zapowiedział, że nadejdzie czas, kiedy rząd rosyjski wyda ukaz o tolerancji, a społeczeństwo polskie znajdzie w sobie tyle ducha... religijnego, aby mu przeciwstawić rodzimy system *dragonad* — uznano by to za żart zuchwały i niesmaczny. (Por. *Ponury tryptyk.*)

Gdyby nam dziś jeszcze powiedziano, że rozgłośny utwór pisarza-rosjanina, któremu w ojczyźnie nie czyniono wstrętów, mimo znanej czujności św. Synodu — że ten utwór ulegnie w przekładzie polskim dotkliwej amputacji, że warszawski dobrowolny urząd rzymskiej cenzury wymaże zeń całe rozdziały — tobyśmy również uznali to za niepodobną do wiary insynuację.

Podobnież i czytelnicy *Gazety Warszawskiej*, nie przypuszczali ani na chwilę, by drukowany w odcinku przekład powieści Dymitra Mereżkowskiego (*Leonardo da Vinci*) — został tak gorliwie przesiany przez sito swoistej cenzury, która bez ceremonji usunęła z tego arcydzieła ustępy nieodpowiednie z punktu widzenia kard. Merry de Val. Ostatnio powieść wyszła w książkowym wydaniu [1]); sprawozdawca *Myśli Niepodległej*, powodowany zdrożną ciekawością, zestawił przekład z oryginałem — i oto co się okazało:

„Oryginał ma 820 stronic bitego druku, przekład ma ich tylko 584, zatym 236 stronic gdzieś się ulotniło... zbadajmy z kolei, co tłumaczka opuściła; starajmy się też wyrozumieć, czym się kierowała przy dokonywaniu amputacji. Opuszczenie „tańca kasztanów" na dworze papieskim da się wytłomaczyć „wstydliwością" kobiecą, ale byłoby pożądane, aby w takim razie tak „wstydliwe" kobiety nie brały się wogóle do tłumaczenia utworów, które je żenują. Ale dlaczego na str. 225 opuszczono, że inkwizytorska Sawonaroli dziatwa nie odróżniała Bachusa od św. Szczepana i że odróżniała zło od dobra, będąc „natchnioną przez Ducha Świętego"? Dlaczego tłumaczka opuściła, że te dzieci oskarżały o bluźnierstwo i niemoralność swych krewnych? Wizja sabatu czarownic znikła. Scena, w której Aleksander Borgia podpisuje bullę o zapowadzeniu cenzury kościelnej ulotniła się. Z rozdziału „Święta inkwizycja", ozdobionego dewizą „Znajcie cały świat, lecz was niech nikt nie zna", wywietrzało 33 stron. I tak dalej..."

Zauważyć się godzi, że dzieło Dymitra Mereżkowskiego, twór olbrzymiego talentu i niepowszedniej wiedzy *ezoterycznej*, dostępny jest jedynie wykształconemu ogółowi, skąd — chcemy w to wierzyć, rekrutują się i abonenci *Gazety Warszawskiej*.

Do tego więc ogółu zwracamy szereg zapytań:

Czy wykształcony ogół polski godzi się na to, by go traktowano, jak gromadkę maluczkich, których „nie trzeba gorszyć" ni „wodzić na pokuszenie"?

Czy wykształcony ogół polski zniesie, by mu podsuwano chyłkiem skoślawiony, zepsuty, wytrzebiony przekład arcydzieła — ten sam sposób, jak czyni się przeróbki „dla dzieci" lub „dla dorastającej młodzieży"?

Czy wykształcony ogół polski pochwala, że w Polsce XX wieku traktuje się twory myśli ludzkiej wzorem średniowiecznych mnichów, co to wyskrobywali po klasztorach cenne pergaminy greckie, by na uzyskanym miejscu przepisywać bez końca litanie i żywoty świętych? Jeśli mimo to pobożni historycy zwą klasztory rozsadnikami kultury — ha, to niewątpliwie i *Gazeta Warszawska* jest kulturalną *in partibus infidelium* placówką...

Lecz żart na stronę. *Popełniono akt szpetnego wandalizmu*, który nie powinien się powtórzyć.

Zaś oświecona i prawdziwie kulturalna publiczność *nie weźmie do rąk* przekładu panny Popławskiej. Należy rzecz czytać albo w oryginale, albo w tłumaczeniu francuskim, dopóki nie pojawi się nowy, z należnym pietyzmem dokonany przekład polski tej powieści, jednej z najwspanialszych, jakie współcześnie napisano.

L. G.

Ponury tryptyk.

Pewien obywatel na Białej Rusi w gronie przyjaciół-myśliwych, w pogoni za lisem zapędził się do zbutwiałej, opuszczonej cerkwi wśród lasów, gdzie deszcz przecieka swobodnie przez pułap, a pod wielkim ołtarzem usłały sobie lisy legowisko.

Inde irae. Z poduszczeń prawosławnego kleru wszczęto sprawę o rzekomą „obrazę religji", no i nieopatrzny nemrod dostał 8 lat katorgi—mimo, że był całe życie notorycznym rusofilem, a katolikiem tylko z imienia. Wypada nadmienić, że świeckie władze powiatowe, dokąd sprawę zrazu skierowano, nie dopatrzyły się w tem tragicznem polowaniu żadnego zamachu na religję, i początkowo sprawę umorzono. Wówczas jednak zajął się nią gorąco konsystorz prawosławny, poparty przez miejscowe czarne bractwa i dopiął celu. Ten wypadek jest bardzo znamienny dlatego, że z całą jaskrawością ujawnił istnienie i rosnącą przewagę czynników klerykalnych, rozwijających taki zasób zdolności represyjnych i taką bezwzględność psutej przywilejami i zatwardziałej w egoizmie kasty, że w porównaniu z wyż przytoczonym „mozyrskim sądem" policyjno-biurokratyczna Temida wydaje się łagodną i niewinną, jak baranek. Zbyteczna dodawać, że każdy taki wyrok jest sam przez się śmiertelną „obrazą religji".

Nieszczęsna ziemia Chełmska, gdzie już rodziły się i umierały kolejne generacje pod grozą rugów wyz-

[1]) *Leonardo da Vinci* (Zmartwychwstanie bogów), Dymitr Mereżkowski, przekład Janiny Popławskiej. Warszawa 1910, dwa tomy, str. 280 i 304, cena 2 rb.

naniowych—stanie się rychło widownią harców rozpętanego klerykalizmu, który, mając na swoje rozkazy władze wykonawcze, przywoła nam na pamięć ultrareligijne średniowiecze w całej krasie jego „cnót teologicznych" i rzezi masowych.

Lecz pocóż sięgać aż tak daleko? Na cnotach ewangelicznych nie zbywa i współczesnemu światu, a nasze rodzime średniowiecze zapiecków prowincjonalnych i zaścianków wiejskich daje możliwą pełnię złudzenia. Istny „*Illusion*"! Oto w *Będzinie*, tuż u granicy niemieckiej, motłoch żydowski, podjudzony przez rabinów, urządza na ulicach formalne „pogromy", bijąc, raniąc bez litości postępowych żydów za to, że noszą kołnierzyki i czytują gazety. W *Wieluniu*—jak donosi *Kurjer Poranny*—„policja chasydzka" obchodzi domy młodych żydów, u których konfiskuje książki „z cyframi gojowskiemi", (a więc polskie. *Przyp. L. G.*) Książki takie „policja żydowska" pali odrazu, przyczem policzkuje ich właścicieli, wybija im zęby, a tłum fanatyczny tłucze szyby u takich „postępowców". Rozpacz młodzieży, u której znaleziono takie „trefne" rzeczy, nie ma granic. Niektórzy odbierają sobie życie, inni uciekają z miasta..."

Krakowska sprawa Klugierówien rzuca niemniej charakterystycznie światło na obyczaje chassydzkie w sferach zamożnych, zaś warszawski zjazd rabinów, uważając snadź że gorliwość prawowiernej tłuszczy nie wystarcza do utrzymania rygoru wyznaniowego, uchwala rodzaj „ochrony wzmocnionej" i zwraca się do władz z prośbą o poparcie...

A oto, gwoli symetrji, trzeci obraz ponurego tryptyku, który odtwarza wiernie naszą rzeczywistość. W Nr. 45 *Wiadomości Marjawickich* — jak donosi *Myśl Niepodległa*—mamy *dalszy ciąg* spisu rodzin, *wydalonych za przekonania religijne z fabryk i majątków ziemskich.* Dotąd wydalono 270 rodzin, a przecież redakcja zapowiada druk „dalszego ciągu". Śród wydalonych znajdujemy takich: Iwański Stanisław, lat 43, dzieci czworo, pracował 20 lat; Żurański, lat 65, dzieci pięcioro, pracował 40 lat; Lubelski Marjan, lat 48, dzieci troje, pracował 25 lat; Wiśniewski Ludwik, lat 50, dzieci czworo, pracował 25 lat; Dalgiewicz Antoni, lat 53, dzieci dziesięcioro, postradał na służbie oko i okaleczył nogę, pracował lat 30... I tak dalej. Istnieje pono ukaz o tolerancji wyznaniowej, wydany przez władze, które nie uchodzą i nie chcą uchodzić za liberalne. Społeczeństwo nasze, rządzone przez kler katolicki, przeciwstawiło temu „obcemu" ukazowi własny ukaz obyczajowy, który jest jakby odwołaniem Edyktu Nantejskiego i uderza, jak taran, w setki rodzin robotniczych i wieśniaczych, winnych uchylenia się z pod księżego rygoru. Budujący zaiste obraz! W jednakowej mierze składa się nań popia nienasycona chciwość, twarda pięść chasyda i rzymsko-katolicki ostracyzm. Niema wątpliwości—żyjemy w środowisku religijnym—tak bardzo religijnym, że aż *etyka*, poniewierana i bita, ogłuszona wrzaskiem wyklinań—przenosi się od nas corychlej w bezbożne farmazońskie kraje pod pieczę świeckiego sumienia i wolnej, tolerancyjnej myśli.

L. G.

Odpolszczanie kresów.

Dźwiękami pogrzebowego marsza powitała prasa polska przyjęcie przez Dumę ustawy ziemstw upośledzających na Litwie tameczny żywioł polski; — radosnym natomiast zwycięstwa hymnem witają nowe zaborcze te uchwały rosyjskie nacjonalistyczne organy.

Ani jedna, ani druga strona jednak, nie podjęła aktualniejszego na tamtejszych kresach dla polonizmu niebezpieczeństwa — a mianowicie, hurtownego wyzbywania się ziemi, które będzie ostateczną jego likwidacją.

Jeżeli bowiem w Królestwie parcelacja, rozdrabniając kulturalne placówki, jakie stanowi, bądź co bądź, większa własność ziemska, powoduje chwilowy zastój społecznego rozwoju, — dopókąd poflancowane na jej miejsce młode włościańskie płonki nie zaczerpną z ziemi potrzebnych dla naszego rozrostu soków, by nową demokratyczną zacząć dla kraju erę; — to na tutejszych za to kresach zajęcie placówek rolniczych przez miejscowy włościański białoruski żywioł zakończy ostatecznie polskiej kolonizacji okres — gdyż nieliczne polskie drobnoszlacheckie zaścianki są już mocno zbiałorutenizowane, pomimo swego katolicyzmu, mającego tam być rzekomo ostoją polskości.

Niestety przekonać się trzeba że słowianie, wogóle w przeciwstawieniu do Niemców i Anglosasów lichymi są kolonizatorami. I u nas przecie pomimo wysiłków rządu — otaczane jego opieką majoraty, sprzedawane urzędnikom za bezcen poduchowne ziemie, kolonizowanie starowierców i t. d. i t. d. — nie okazały się w końcu rozsadnikami rusyfikacji — lecz źródłami spekulacji dla miejscowych aferzystów.

Kolonizacja też polska na Białej Rusi nie zapuściła głębszych korzeni w grunt miejscowy, lecz żywiła się jak kanianka na kończynie, głównie rabunkową gospodarką leśną — spławiając do morza cenniejszy towarowy materjał, pędząc dziegieć, potaż i smołę z jego odpadków.

Wyzyskując też darmo pracę poddanych — szlachta zaniedbała racjonalną uprawę roli, osuszenia łąk i moczarów stanowiących przeważny procent miejscowego terenu.

Dotąd jeszcze odwieczna socha — oddawna u nas do muzeum rolniczego złożona — orze w jednego konia tutejszą niwę, a lekka drewniana brona głaszcze tylko po wierzchu rodzimego perzu plantacje.

Zamiast nowożytnej intensywnej gospodarki przeważa system „zapaszników" obrabiających dworskie pola własnym sprzężajem i pieszym robotnikiem za trzy piąte zbioru i wykoszywającym to w archaiczny, naturalnie, sposób.

Jednakże i obecnie choć się już wyczerpały lasy a dochód nie powiększył z ziemi, życiowa skala dziedziców bynajmniej się nie zmiejszyła, ale, owszem podąża szybko, zwłaszcza przy rozwoju sieci kolejowej, za wymogami zachodniego komfortu, — którego każdy szanujący się obszarnik poznał dokładnie wszelkie arkana w corocznych zagranicznych wycieczkach.

Wydatki więc z roku na rok się powiększają, a kiedy już chuda krowa nie daje więcej mleka prowadzą ją do rzeźnika t. j sprzedają dobra na parcelację.

Ułatwia znakomicie operację tę bank włościański protegujący przy sprzedaży starowierców, dając osadnikom jeżeli rozbudują się na oddzielne futory nawet do 100 proc. pożyczki. Prócz tego po 150 rubli i drzewo z lasu rządowego na budynki darmo dostają.

Topnieje tedy, z dnia na dzień, większa własność, jak tego dawniej nie bywało, gdy obowiązywały ograniczające Polaków co do kupna ziemi prawa, które też nie wyrugowały by ich ostatecznie z ojcowskiego zagonu. Gdyby nie własna nieoględność przetrwaliby oni i dzisiejszą reakcyjną dobę, która, jak wszystkie wahania się historycznego rozwoju ostatecznie kiedyś przecie przeminąć musi i choć dla naszych następców inne nastąpią czasy. A teraz ten co twardo się trzyma ziemi, a dobrze nabity ma pugilares, nie boi się zbyt wiele ograniczeń prawnych w państwie, gdzie wedle żydowskiego przysłowia — każdy nowy ukaz jest jak gorąca blacha, co z początku mocno parzy ale na której, gdy ostygnie, można siąść nawet w najgrubszym negliżu.

Wszelkie więc kurtyzowane ziemstwa, zakazy, cyrkularze i wyjaśnienia tracą ostrze egzekutywy, wobec tego, że łapownicy dzielą się ostatecznie na

dwie kategorje: do stu rubli, i od stu rubli, czego skandaliczne rewelacje senatorskie codziennym, gwałtu krzyczącym są potwierdzeniem.

Nie rozdzierajmy więc szat naszych nad zwycięstwem pp: Puryszkiewiczów, Markowych i S-ki, w obecnej kazionnej Dumie, ale raczej nad lenistwem, nieopatrznością i życiem nad stan naszych litewskich „żubrów".

Agricola.

Dobra wróżba.

Zasłużony w sprawie rozdziału Kościoła i narodowości ks. Kardynał Puzyna zdobył dziś nowe laury. Zakazując podwładnemu sobie duchowieństwu odprawiania nabożeństw polowych na błoniach krakowskich znakomicie poparł dążenie młodzieży do ześwieczczenia historycznego obchodu.

Zakaz kardynała winien stać się pobudką do wniknięcia w charakter minionej chwili dziejowej i wysnucia z niej krzepiących ducha narodowego wskazówek. W r. 1410-ym zastępy walecznych zgromadzone na polach Grunwaldu pod chorągwią księcia Witolda przy pomocy heretyckich sprzymierzeńców z Zachodu a pogańskich ze Wschodu zwyciężyły potężny zakon, choć miały przeciw sobie nie tego lub owego biskupa, lecz wszechwładną wówczas głowę Kościoła. A ileż razy u nas dłoń biskupia lub papieska błogosławiła hufce idące na zgubę i klęski!

BADANIA NAUKOWE.

W. James i pragmatyzm.

W. James cieszył się od kilku już dziesiątków lat sławą zasłużonego psychologa. Amerykański student psychologji nie rozstawał się z jego podręcznikami. Na początku uczył się z „małego James'a", później z „wielkiego James'a". Sława ta, zdobyta sumienną pracą i ogromem wiedzy w zakresie psychologji empirycznej, nie wychodziła jednak poza obręb uniwersytetów i kół fachowców. Dopiero teraz od lat z górą dziesięciu imię James'a nabrało tego szerokiego rozgłosu wszechświatowego, który jest udziałem *popularnej* filozofji. Na drogę tę wstąpił James, napisawszy niewielkie dziełko p t. *Pragmatyzm* i dwie rozprawy: *The varieties of religious experience* — (gatunki doświadczenia religijnego) i *The will to believe* (chęć wiary).

Sława James'a, jako filozofa, stanie się natychmiast zrozumiałą, skoro powiemy, że chodzi mu o danie nowej, naukowej i pozytywnej podstawy religji. Jest to właśnie ta filozofja, której brak wyrzuca polskim filozofom Prus, — filozofja, która *daje* coś dla życia. Potrzeba takiej filozofji jest ogromna. Nie brak też i autorów, którzy chcieliby ją zaspokoić, do tego jednak trzeba mieć szczególniejsze warunki. Przedewszystkim byle jakie głupstwo, chociażby wypowiedziane z namaszczeniem, nie może mieć powodzenia. Umysł tegoczesnego człowieka jest trzeźwy.

Nawykłszy do pozytywnego poglądu na świat, do liczenia się z rzeczywistością, nie zacznie on traktować na serjo czegoś, co poprostu sprzeciwia się zdrowemu sensowi. James zaś, jeżeli nie stoi na gruncie pozytywnym, to jednakże stara się wychodzić z danych pozytywnych. Powtóre James jest to człowiek uczony, mający niezaprzeczone prawo do tego tytułu, i oto ten to mąż uczony zgadza się z prostaczkami! Mówi poprostu: wiara jest nam potrzebna, chcemy wierzyć, jest bóg, jest opatrzność, są cuda! Dawno już nie było podobnego wydarzenia, i chociaż wśród filozofów anglo-saskich religijność jest zjawiskiem powszednim, to jednak religijność propagowana w tej formie, jak to czyni James, a którą sam określa, jako „gruby nadnaturalizm", stanowi stanowczo wyjątek. Słusznie możnaby tu powiedzieć: „Królowie pożyczyli od żebraków" [1]). Ta sytuacja z natury rzeczy musi wywołać radość wśród tych wszystkich, którzy czuli się potępieni z wysokich progów nauki.

Naturalnie religijność James'a, a katolicyzm lub nawet modernizm, to dwie rzeczy różne. James jest amerykaninem; jak większość amerykanów starego typu (który pod względem etycznym — właśnie jest typem dodatnim), uwielbia on kwakrów i ceni ich wpływy na kulturę amerykańską. Religijność określa się dla niego przedewszystkim przez formę życia, akcję, stosunek człowieka do społeczeństwa. *Należenie do jakiegoś kościoła* oznacza tam chęć brania udziału w filantropijnych pracach określonej grupy osób i wywierania moralnego wpływu na pewne otoczenie. Pierwiastek obrzędowy i dogmatyczny schodzi na plan odległy lub też zupełnie zanika. Nabożniś amerykański będzie u nas uważany za strasznego bezwyznaniowca i bezbożnika. Dowolność w pojmowaniu dogmatów, w rozważaniu podstaw wyznaniowych, weszły w kość i krew narodu. Wołając więc: chcę wierzyć!, James nie podporządkowywa siebie żadnemu z istniejących wyznań. Daje on tylko wyraz pewnemu stanowi psychologicznemu i pewnemu stanowi socjalnemu.

James nie wątpi, że wpływy religji (naturalnie religji pojmowanej w powyżej określony sposób) są dodatnie. Według jej owoców winniśmy ją sądzić. Owoc zaś religji to świętobliwość życia. Objawy religji to: nabożność, miłosierdzie, potęga ducha, surowość, czystość, posłuszeństwo, pokora. Święty jest to istota zawczasu przystosowana do doskonałego społeczeństwa. Religja jest to niezrównane źródło energji, bezinteresowności, wytrwałości.

Nietylko jednak moralną jest działalność religji; do skutków jej należy zaliczyć także cudowne uleczenia. Wiadomo, że wiara działa cuda. Tak więc pożyteczność religji jest niezawodna. Dla badawczego umysłu tegoczesnego człowieka jednak tego nie dość. Trzeba jeszcze dowieść, że religja jest prawdziwa.

Potrzeba ta zrodziła właśnie tak dziś popularny pragmatyzm. Termin ten i pojęcie powstało właściwie w zupełnie innej drodze; stworzone zostało przez człowieka nauki, szukającego kryterjum prawdy [2]). Ale rozgłos zawdzięcza James'owi i jego zwolennikom, z których wymienimy tu Dewey i Schiller'a. Jak poznać, czy religja jest prawdziwa? Oto tak, jak wogóle poznajemy prawdę, — z jej skutków. Kryterjum prawdy — praktyczne zastosowanie. Teorje, powiada James, nie są to odpowiedzie na zagadki, ale narzędzia, instrumenty myśli. James daje wyborny przykład tego pojmowania rzeczy. Pewne towarzystwo spierało się o to, czy strzelec biegnący za wiewiórką, która obiega wkoło pień drzewa, okrąży wiewiórkę? Zapytany James, odpowiedział, że zależy to od punktu widzenia. Dla tego, kto rozważał stosunek człowieka do drzewa, okrążał on pień podtrzymujący wiewiórkę i zatym i wiewiórkę, — i to była prawda. Dla tego, kto badał stosunek strzelca do wiewiórki, wciąż uciekającej przed nim, nie okrążył on wiewiórki, — i to znów była prawda. Wszystko zależy od celu, zamierzonego przez myśl naszą.

Z rezultatów, owoców, faktów, z rzeczy ostatecznych wnioskujemy o wartości prowadzących do nich zasad. Pragmatyzm, mówi James dowcipnie, „to metoda rozstrzygania sporów filozoficznych, któreby się

---

[1]) Stare hasło wojen krzyżowych.

[2]) Pierce. How to make clear, our ideas Popul. science Monthly 1878.

inaczej ciągnęły bez końca". Nasze przekonania ujmuje on, jako reguły działań. Pragmatyzm jest to stanowisko orjentacyjne, przy którym odwracamy wzrok od różnych zasad, pierwotnych rzeczy, „kategorji", mniemanych konieczności i patrzymy w kierunku rezultatów.

Najstarsze prawdy ludzkie, traktowane dziś, jako absolutne, były kiedyś żywe, plastyczne, i zostały stwierdzone jako prawdy z ludzkiego stanowiska. Prawda żyje. Przybierając cechę bezwzględności, umiera nakształt schnącej gałęzi. Myśli, stanowiące tylko część naszego doświadczenia, bywają prawdziwe tylko o tyle, o ile pomagają nam dojść do zgody z innymi częściami naszego doświadczenia. Religja będzie prawdziwą, skoro zdoła pogodzić się z empiryzmem.

Trzeba, ażeby nasze pojęcie boga, przyszłości świata, celu życia i t. d. przystosowało się do naszej wiedzy. Jeżeli zaś ze stanowiska naukowego możliwych jest kilka takich pojęć, to wybór należy uczynić wedle ich skutków. To, co jest dla nas, jako ludzi, pożyteczniejsze, to uznamy także za prawdziwe. „Jeżeli okaże się, mówi James, że ideje religijne mają znaczenie dla rzeczywistego życia, to z punktu widzenia pragmatyzmu, staną się one prawdziwymi w miarę zbliżania się do tego celu".

Oto w grubych zarysach ta religja, jaką wyznaje James: Świat niewidzialny jest to realność—bóg. Bóg i my tworzymy jedno, kiedy oddajemy się jego wpływowi. Ten sam bóg, pod którego ręką żyjemy, rządzi i światem całym. Bóg ten może zmieniać bieg wypadków. Teorje te nie dają się dowieść; dla każdego są one inne, ale, powiada James, za te swoje poglądy, gotów on „narazić życie". Motywuje on je pragmatycznie, przez ich skutki. Tak np. z punktu widzenia pragmatycznego pojęcie boga, jako istoty stojącej poza światem, czy też ponad nim i zgoła nie posiadającej wpływu na bieg wypadków, nie ma żadnego znaczenia. Przeciwnie bóg, do którego można się modlić, który może zmienić nasz los i pobudzić nas w ten sposób do zdobycia pewnych zasług, ma wielkie znaczenie dla życia. Pragmatyk więc musi zatrzymać się w wyborze właśnie na takim pojęciu boga. Również obojętna jest dla pragmatyka przeszłość świata.

Jak tam świat był stworzony, nic to nas pod względem praktycznym nie obchodzi. Interesuje zaś nas to, czym się ten świat stanie. I tutaj *meljorystyczny* pogląd wyższy jest nad wszelki inny, pozwala nam bowiem ufać w skutki naszej własnej pracy w celu poprawy bytu ludzkości. *Wolna wola* dla pragmatyka ma tylko znaczenie w takim sensie, że możemy oczekiwać zmian w formach bytu. Zamiast więc determinizmu ścisłego, proponuje James pogląd, że świat może się zmieniać, że przy pewnych dodatkowych warunkach, może on pójść inną, niż idzie dotychczas drogą. Warunki te zaś to nic innego, jak tylko *nasze własne działanie*. Od własnej naszej akcji zatym możemy oczekiwać zbawienia świata.

Oczywiście, wiara taka może nas pchnąć do heroizmu, na którego brak w życiu tegoczesnym James narzeka. „Zło musi być precz wytrącone, powiada James, trzeba przez nie przestąpić i wziąć udział w tworzeniu takiego świata, który zapomni nawet o zła imieniu i miejscu".

Kto będzie jednak tak wysokiego o sobie mniemania, ażeby czuł się sam na siłach podołać temu zadaniu? I tu pragmatyzm przychodzi nam z pomocą. Musimy ufać, że stwórca świata wzywa nas do współdziałania w jego zbawieniu. Praca nasza staje się cząstką pracy boskiej. W ten sposób jednostka, ludzkość i bóg zlewają się w jedno przy zrealizowaniu przyszłości świata.

Ażeby pogląd ten jako tako filozoficznie zaokrąglić, potrzeba oczywiście załatwić się jeszcze z monizmem. Przypuściwszy jeden pierwiastek podstawowy świata, bądź to duch, czy materję, nia możemy znaleźć w nim miejsca na doskonalenie się. Z jednakich założeń jednakie skutki. Przypuśćmy jednak tylko iskierkę podziału pomiędzy rzeczami, tylko odrobinę niezależności i mamy już logiczną podstawę dla meljoracji świata. Tak więc progmatyzm wypowiada się na korzyść *pluralizmu* przeciw monizmowi. Jak daleko sięgnie ten pluralizm, to może rozstrzygnąć tylko doświadczenie. Zwracamy się więc pod tym względem do zdrowego sensu, dla którego rzeczy są po części złączone, po części rozdzielone. „Świat będzie dla nas jednością o tyle, o ile jego części złączone są między sobą jakąś określoną formą spójni; świat będzie dla nas wielością, o ile nie jesteśmy w stanie wskazać jakiejkolwiek określonej formy spójni". W końcu staje się on coraz bardziej zjednoczonym, dzięki tym systemom związków, które stwarza po kolei ludzka energja. Absolut na końcu tej drogi, nie na jej początku.

Jak widzimy, mamy tu już całą religję, ustaloną przez wybór różnych możliwych poglądów filozoficznych, dokonany pod kątem widzenia pragmatyzmu. Ale James wie coś więcej jeszcze o tych rzeczach ostatecznych. Wie on, że najwyższa zdobycz intellektualna naszej epoki, to pojęcie boga, jako „the one Knower", to znaczy, jednego podmiotu, jednego intellektu, dla którego wszystko, co się dzieje, jest jakby snem, stapia się w jego świadomości. Wie on także (opierając się na teorji Myers'a) o jaźni subliminalnej człowieka. „Wykrycie" tej jaźni uważa on także za największą sprawę naszej ery. Byt ludzki świadomy jest tylko cząstką jakiegoś innego, wyższego bytu, subliminalnego. Ten ostatni manifestuje swe istnienie w pewnych tylko warunkach i pewnych wypadkach, zresztą działa ponad naszą świadomością. Dodajmy powyższe przekonania do pragmatycznie ustalonych wierzeń i otrzymamy dość już nawet detalicznie wykończony systemat religijny.

James nie darmo był jednak całe życie przedtym empirykiem. Pragmatyczne uzasadnienie jemu samemu nie wystarcza. Szuka on *faktów*. Trzeba znaleźć fakt, na którym możnaby oprzeć religję, *doświadczenia religijne*. Doświadczenia takie miewają *mistycy*.

Wogóle dla dojścia do prawdy religijnej mamy dwie drogi: doświadczenie racjonalistyczne, które jednak niczego dowieść w istocie nie może i mistykę. W tym ostatnim wypadku „realność przedmiotu doświadczeń religijnych dana jest przez stan odczucia stosunku z istotą większą, niż moje *ja* zwykłe i wynikające stąd uczucie zbawienia, potęgi i radości".

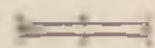
Uczucie to jest faktem, jest doświadczeniem i ma wartość bezpośrednią, jako takie. Doświadczenia takie miał cały szereg ludzi, na czele których stawiają zwykle Ś-tą Teresę. Opisują je nieraz bardzo szczegółowo. Są to głębokie stany ducha, silnie odróżniające się od powszedniego marnego bytu, nieziemskie szczęście, nieraz niewymowne boleści. Ci, którzy stanów tych doznali, nadają im ogromną wartość. „Święty, niebiański szał", o którym mówi Ś-ta Teresa, daje jej takie szczęście, na którego wyrażenie słów nawet znaleźć nie umie. Wizje swoje opowiada najdokładniej. Opisuje i analizuje stany ekstazy i oczarowania, rozbiera niższe i wyższe rodzaje uniesienia i t. d. Wszystkie religje niemal znają mistykę i posiadają środki do wzbudzania stanów ekstazy. Zawsze też ludzkość ceniła te uniesienia ducha i nadawała im pierwszorzędną wartość.

Krytyka pozytywistyczna pod tym względem stanowi wyjątek. Zdarła ona nielitościwie aureolę, otaczającą ekstatyków i mistyków. Lekarze traktowali ich jako chorych, podnieconych erotycznie histeryków. Stany te uznano za patologiczne. Rozbierano ich podłoże fizjologiczne, nie nadając im żadnej przedmiotowej wartości. James występuje przeciw takiemu

poglądowi w sposób wysoce oryginalny. Stany te są to bądź co bądź *doświadczenia*, powiada on. Że doświadczający ich ludzie nie są normalni, na to zgoda. Doświadczenia ich, pomimo to, mogą mieć jednak wartość. Może właśnie potrzeba pewnych anormalnych warunków organizmu, ażeby tego rodzaju doświadczenia mogły być doznawane przez człowieka.

(d. n.). *J. Kodisowa*

LITERATURA i SZTUKA.



Miłość Platońska.

(*Platon*: **Uczta**. Przełożył, wstępem poprzedził i objaśnieniem opatrzył W. Witwicki. Wydawnictwo *Symposionu*. Nakł. księg. polsk. Połonieck. Lwów 1909).

Ażeby zrozumieć, czym jest miłość w pojęciu Platona, musimy choć w ogólnych, szkicowych zarysach odnowić w pamięci całość jego filozofji, aby choć na chwilę wywołać w sobie ów nastrój idejowy, który nas usposobi do właściwego odczytania i zrozumienia djalogu Platońskiego o miłości.

Każdy mniej więcej wykształcony człowiek wie, że Platon pouczał nas ongi o *wiecznych idejach*. Rzeczywistość i nieznikomość przynależy gatunkom i rodzajom, jako istocie wszechrzeczy, którą takie uogólnienie, zamiast pustoszyć, napełnia właśnie treścią wiekuistą i ukonkretnia. Poszczególność i zjawiskowość — są znikome i nierzeczywiste. Hegel zaznacza możliwość dwóch *nieporozumień*, które są zdolne oderwać i oddalić nas od prawdziwego Platona, mącąc czystość i kryształowość jego filozofji: po pierwsze jeżeli *wieczne ideje* zdają się nam pomysłami jakiejś Istoty pozaświatowej, pozaziemskiej — i powtóre — jeżeli pod mianem *wiecznych idei* pojmujemy ideały wyobraźni ludzkiej, jej zachcianki i marzenia. Możemy tu dorzucić i trzecie jeszcze nieporozumienie, a mianowicie — jeżeli *wieczne ideje* uważamy tylko za uogólnienia za formy myślenia ludzkiego, w które się te ideje układają i ułożyć muszą dzięki swej tożsamości z naszym myśleniem.

W pierwszym wypadku — byłby Platon zaświatowcem, z oczyma odwróconymi od wszelkich spraw ziemskich, zaś stosunek *wiecznych idei* do życia nie byłby zakresem jego własnej filozofji wytłumaczony. W drugim wypadku — byłby marzycielem, zaś *wieczne ideje* nic by nie miały wspólnego z rzeczywistością. Wreszcie w trzecim — tworzyłby logikę — nie systemat filozoficzny.

Wieczne ideje są jedyną rzeczywistością. Aby ją wypatrzeć, trzeba się uciec nie do zmysłów, lecz do myślenia. Byt, oglądany myśleniem, odsłania swe wnętrze, swe jądro idejowe.

Ta właśnie odsłonność, ta obnażoność bytu ukazuje nam treść wszechrzeczy, która zatracając poszczególność, zdobywa w naszych oczach, a raczej w naszym myśleniu właściwą sobie powszechność: rodzaj i gatunek.

Myślenie ludzkie *nie uogólnia*, nie porządkuje, nie stwarza, lecz, dzięki swej tożsamości z bytem, wydźwiga z *własnej głębi* tę idejowość, która i w nim i w bycie równocześnie i niezmiennie spoczywa. Dlatego też myśleć — to znaczy wspominać. Dusza jest miejscem wspomnienia tajemnic bytu.

Tożsamość duszy z ideją obdarza ją — nieśmiertelnością. Żyła w przedistnieniu, żyje obecnie, będzie żyła po śmierci.

Materja — to chaos, bezkształt, nieskończoność. Tylko ideja nadaje temu chaosowi — kształt, ograniczoność, skończoność. Ideja rzeźbi w materji swoje własne oblicze. Skończoność jest doskonalszą i szlachetniejszą od nieskończoności, jak rzeźba — od bezkształtnej bryły marmuru. Lecz dopiero z harmonji (umiaru) pomiędzy jedną a drugą wypływa — dobro, siła i piękno.

Gdzie mowa o umiarze, tam niema jeszcze mowy o miłości. Ta ostatnia nie jest ani dobrem, ani siłą, ani pięknem. Tak szepczą wonne i niespodziane twierdzenia Uczty Platona. Miłość, nie mając w sobie wyżej wspomnianych zalet, skazana jest tylko na wieczne ku nim dążenie: ku sile i pięknu i dobru. A więc, sama nie będąc harmonją, harmonji właśnie pożąda. Jest nieustanną pożądliwością tego, czego brak jej istocie. A przytym jest zmienna i sobą nie włada: to gaśnie — to płonie, to umiera — to znów zmartwychwstaje, to zdobywa i posiada—to znów traci i niszczeje. Dostatek i Bieda — idą za nią, wziąwszy się za ręce.

Niema w niej umiaru, niema rozsądku ani zastanowienia. Największy czar ślepoty miłosnej na tym właśnie polega, że się jeden cud po nad wszelkie inne wynosi. Jednego człowieka apoteozuje się po to, aby wszystkich innych zdetronizować.

I niewiadomo, w czym tkwi rozkosz większa: w tej apoteozie, czy w tamtej detronizacji?..

A nawet z tych ponęt, które w duszy ukochanej się gromadzą, tak samo jedną po nad inne się wynosi. I tu więc obok apoteozy istnieje dziwna i nie mniej upojna detronizacja...

— „Za tę jedną kolję na szyi twojej pokochałem ciebie, oblubienico moja!” tak mówi pieśń nad pieśniami.

Zaś Plato — ta „złota i brzęcząca pszczoła na ustach bogów” — gdy mu w miłości przyszło wybierać pomiędzy ciałem a duszą, wybrał tę ostatnią — i w tym właśnie wyborze, w tej wyłączności tkwi jego nieumiar, jego opętanie, jego ślepota na całą resztę świata, jego rozkosz równoczesna z powodu apoteozy ducha i detronizacji ciała!

Jeżeli ideję można rozpłomienić w różę rzeczywistą, to w Uczcie Platona stała się ona różą — „różą myślącą”.

Najbardziej godnym pieszczoty jest ciało — najbardziej myśleniem roztajemniczone, najbliższe *idei wiecznych*.

A wszakże myślenie porywa chaos w swe objęcia, aby mu nadać kształt tych objęć płomiennych, tych ograniczeń doskonałych... Miłość to dziwna! Miłość dwóch posągów, które w zapasach ducha, w pieszczocie czujnych ramion raz jeszcze się kształtują, raz jeszcze rzeźbią nawzajem.

Spotkanie się w drzew cieniu dusz dwojga, które wymianą słów i szeptów pomagają sobie nawzajem do nieustannego wspominania wiekuistej treści bytu, w nich zawartej i wyczekującej tej godziny cudu, kiedy domyślna miłość wypłoszy ją z milczenia na wargi pożądliwe i rozszeptane!

Filozof, miłością opętany, tak właśnie winien wyglądać i w taki właśnie sposób swój umiar zatracić. Jeśli w systemacie jego tkwił dualizm, jeśli miał w chwilach umiaru — dwuch bogów: duszę i ciało, to w chwili upojeń miłosnych musi o jednym z nich zapomnieć i drugiemu oddać wszystko, co posiada!.. Musi wśród faunów i satyrów rozpląsać choćby na mgnienie całą powagę i harmonię i cały dualizm swego systematu i oczarować go dźwiękami jednej tylko fletni, ślepą czcią i hymnem wyłącznego wyboru.

Wybranką miłości Platońskiej jest dusza. Jestto boskie pijaństwo dusz, którymi nawskroś przeświecają ciała zamyślonych filozofów. Miłość nie pozbawiona ani powagi, ani swawoli. Lub raczej przyjaźń, rozpłomieniona aż do szału, aż do zapomnienia...

Wszakże wszelaki kształt na ziemi — jest znikomy — i męski i kobiecy. Wieczną jest tylko ideja

kształtująca... Zaś ciało, które ją objawi, godne jest zabiegów Erosa! Ideja — w słowach się objawia. A więc — *słuchaniem* przedewszystkim poi się miłość Platońska. Na dawne pytanie trubadurów, czy miłość przez serce, czy też przez oczy wnika, Sokrates Platoński mógłby odpowiedzieć: przez uszy.

W jego bowiem rozumieniu miłość ku tym się zwraca, którzy mądrze mówią — bez różnicy wieku i kształtu... Słowo mędrca podnieca, jak pocałunek, który w czas przychodzi. Może to nawet nie miłość, lecz wieczna ideja miłości, która się nagle rozpasała i upoiła znikomością i bezróżnicą kształtów ziemskich, zaś te ostatnie *sub quadam specie aeternitatis* czarują inaczej, niż z punktu widzenia zwyczajnej fizjologji?...

Chwilami wydaje się, że na wzór dzisiejszych ludzi Platon miłował samą miłość, kochał samo kochanie — jego tajemne pośrednictwo pomiędzy człowiekiem a bogiem, jego cudowny przymus do wzajemnych zwierzeń i wynurzeń duchowych, jego niczym innym nie zastąpioną podnietę do wiedzenia o sobie i o istocie wybranej tego, czego się jeszcze przed chwilą nie wiedziało — i wiele jeszcze innych, nieprzeliczonych atrybutów miłości.

Dlatego też zbyteczna jest nawet zamiana pojęcia „młodego chłopca" — na pojęcie „młodej dziewczyny" — *ze względu na nasze współczesne stosunki i poczucia z początku XX wieku po Chrystusie*, jak mowi w swej stylowo pięknej przedmowie p. Witwicki.

Zbyteczna dlatego, że ponad upalną i wonną atmosferą Uczty unosi się *miłość sama w sobie*, bez względu na przedmiot umiłowany, — miłość, która się sama sobą upaja, sama siebie zgaduje, rozłamując na szereg domysłów i baśni, i przytym tak świadomie i tak nieprzedajnie, że tylko jeden z tych domysłów może się okazać prawdziwym, jedna tylko baśń — nieśmiertelną. Miłość to raczej — zasłuchana we własne domysły i baśnie, niż zapatrzona w powaby samego ciała.

Ten tylko z ucztującego ów domysł i ową baśń wyłowi, kto potrafi nie zmyślać tłomaczenia, lecz *wspominać* treść bytu, w duszy zawartego. Z takiej miłości nie można *wyszumieć się po dzisiejszemu*, lecz trzeba po ówczesnemu wyczerpać ją aż do dna, wyspowiadać ją aż do ostatnich barw tęczy, aż do natchnionego wyrzucenia ze siebie w duszę umiłowaną wszystkiej swej wiedzy, wszystkiego gieniuszu, i całej niespodzianej swojej odrębności duchowej.

Jakże wygląda ów Eros, na którego cześć brzmią to harfiane, to znów surmowe słowa Uczty? Wygląd jego jest niespodziany dla wszystkich ucztujących. Węszy on i szuka tylko piękna, dobra i mądrości, bo sam tych cnót nie posiada. Nie można go też i przeciwnymi obrzucić przerwiskami. Jest czymś pośrednim pomiędzy pięknem a brzydotą, dobrem a złem, mądrością a głupotą. Wie on, co tu jest na ziemi najlepszego, ale wie jakoś bezwiednie, wrodzonym węchem, samym jakoby poszeptem swego podniebienia. Czyż z po za tych pojęć gęstwy nie wynurza się przed nami naiwnie mądry, bezmyślnie przenikliwy łeb satyra?

Wszak Alcybjades o Sokratesie, który jest nie tylko realnym bohaterem noweli, lecz jednocześnie ideałem piękna Platońskiego, powiada: „Już ten *satyr* i mnie i niejednemu tak samo przygrywał na flecie!"

Zaś Diotima do Sokratesa tak mówi: „to, co kocha, wygląda inaczej, o tak — jakem ci opowiedziała". A opowiedziała mu o Erosie, co następuje: „On jest tłumaczem pomiędzy bogami a ludźmi: on od ludzi bogom ofiary i modlitwy zanosi, a od bogów przynosi rozkazy i łaski, a będąc po środku pomiędzy jednym i drugim światem, wypełnia przepaść pomiędzy nimi i sprawia, że się to wszystko razem jakoś trzyma... Daleko mu do delikatnych rysów i do piękności, jak się niejednemu wydaje; niezgrabny jest i, jak potyrcze wygląda i boso chodzi, bezdomny, po ziemi się wala, bez pościeli sypia pod progiem gdzieś, albo przy drodze, dachu nigdy nie ma nad głową.. Ani to bóg, ani człowiek. I jednego dnia to żyje i rozkwita, to umiera znowu i znowu zmartwychpowstaje"...

To już nie dawny uroczy Eros, lecz faun lub satyr, którego ślepia pożądliwie zapatrzone w piękno i mądrość, same nie zdradzają ani piękna, ani mądrości. Może to nawet świadomie przez Platona ujęty lub pogłębiony typ satyra. Jego to właśnie obecność w różanym ogrodzie Uczty Platańskiej nadaje jej słowom taką upojność, wonność i taki uśmiech boskozwierzęcy, który, zda się, porozumiewawczo się zwraca i niemal pomruguje na najłakomsze kąski i najzaklętsze skarby dookolnej przyrody.

P. Witwicki w doskonałym przekładzie zachował całą złotolitość oryginału i oddał nawet czarodziejską prostotę i naiwność składni greckiej.

Bolesław Leśmian.

Piosenki „Młodych Chin".

Dzień każdy przynosi nowe wieści z Dalekiego Wschodu, upewniające Europę, że Chiny się odradzają, odmładzają do gruntu. Anatol France w swej książce „Na białym kamieniu" pisał o Chinach nie tak dawno: „Trzeba czasu, ażeby Chiny zrozumiały że istnieją. Tymczasem jeszcze nie zdają sobie sprawy z tego. Naród wszelki żyje o tyle, o ile ma świadomość swego bytu. Chiny więc dotąd nie istnieją". Teraz już takie zdanie o narodzie państwa Niebieskiego stało się anachronizmem. Wojna chińsko-japońska, zabór ziem chińskich poczynając od roku 1898, wyprawa karna w 1900 r., grabież Pekinu i miast Mandżurji, zatopienie spokojnych chińczyków w Błagowieszczeńsku obudziły świadomość narodową. Z początku była ona w poczuciu swej słabości nadzwyczaj upokorzoną. Lecz zwycięstwo Japonji nad Rosją wstrząsnęło całą Azją, dodało otuchy sercom Chińczyków, rozbudziło w nich rosnący stale patryjotyzm. Los Indji i Polski ominął szczęśliwym trafem żółtolicych uczni Konfucjusza.

Przytoczę kilka piosenek „młodych Chin" zapisanych przez francuskiego badacza Jean'a Rodes'a, który z ramienia Towarzystwa Gieograficznego w Paryżu przepędził kilka lat ostatnich w Chinach dla poznania politycznych i duchowych objawów nowej na Wschodzie ery.

I. Hymn Wolności [1]).

O wolności! Najwyższym jesteś darem nieba!
Wzrósłszy w pokoju, cudów dokażesz na ziemi.
Poważna jak umysł, wielka jak olbrzym sięgający obłoków,
Jadąc na rydwanie chmur, zaprzęgniętym w wichry miast rumaków
Zstąp aby rządzić na ziemi!
Przez litość nad ciemną otchłanią naszej niewoli
Zejdź i oświeć nas promieniem słonecznym!

* * *

O biała Europo! Tyś rzeczywiście zepsuta córa nieba.
Chleba i wina i wszystkiego masz do zbytku.
My zaś kochamy Wolność jak żonę najlepszą,
Jak dzień słoneczny, jak wieczór długich nocy.
Wracamy wciąż myślą do nieszczęść naszej ojczyzny.

---

[1]) Śpiewany przez uczącą się młodzież na południu Chin, uważany za Marsyljankę chińską.

Lecz wolność jest tak niepochwytna i trudna do zdobycia.
Ach! Nasi bracia są w ciężkiej niewoli!

* * *

Wietrzyk jest tak łagodny, rosa błyszczy tak pięknie.
Kwiaty ronią zapach uroczy
Ludzie wydają się królami.
Nie zapominajmy jednak, że nasz naród cierpi.
W Pekinie zginać musimy głowy
Przed okrutnym wilkiem, naszym władcą.
Niestety, wolność znikła,
I wielka Azja stała się smutną pustynią!

* * *

W XX wieku niech wszyscy rzucą się do pracy
Nad budową nowej epoki
Zgodnym głosem niech mężni i śmiali
Walczą o reformy z niebem i ziemią!
Niech naród wzniesie okrzyk aż do wierzchołka Kuang — Leun,
Waszyngtonie, Napoleonie, wy dwaj synowie wolności!
Przyjdźcie i ustąpcie nam swego ducha!
Hin — Jun, nasz wielki przodku, ty poprowadź nas!
Gienjuszu wolności, zjaw się ku pomocy!

Inna piosenka dobitniej podkreśla niechęć dla Mandżurów i ich dynastji, zasiadającej na tronie chińskim, jak również i dla cudzoziemców, których pędzi do Chin bezgraniczna chciwość.

Skargi krainy zmarłych.

Wiatr powiał z Zachodu! I posiał wszędy smutek.
Państwo środkowe jest tylko krajem zmarłych.
Pędząc na koniach zlecieli jednej nocy Mandżurowie,
A byli tak liczni, iż zdawało się kraj cały został kurzem pokryty.
Zaledwie słońce wyjrzało, już odarto z nas szaty
A tegoż wieczora pędzono nas do szeregów wojska niewolniczego,
Na służbę Mandżurom.
O zgrozo! Kometa zjawiła się na północy niebokręga
I przepowiadała upadek słupa niebieskiego.
Nastąpiła straszną ciemność. Niema do kogo zwrócić się z mową
Płacz zalał wszystkie góry.
Gdzie się spojrzy, wszędy bieleją kości w okropnym bezładnie.
Ach. jak smutno! My jesteśmy krajem umarłych!

II.

Wiatr powiał z Zachodu! I przyniósł same strapienia.
Lecz nikt się nie podniósł do walki.
Chorągwie ich były białe, a nieśli zależność, niewolę i jarzmo.
Jednej nocy przyszli żołnierze z Europy.
Ciemność otaczająca broni nas od strachu.
Wytężcie słuch i posłuchajcie jak na dworze Pekińskim
Biesiadują cudzoziemcy
Koncesje im nadawane wnoszą wszędy ogromne wyłomy.
Tak, oni się wzbogacają a my pozostajemy w nędzy
Ich dowódzcy uprzyjemniają sobie czas zbytkownymi hulankami i muzyką.
A któż zna nasze cierpienie? Kto słyszy krzyki naszej nędzy?
Niestety! Smutno wszędzie
My jesteśmy krainą zmarłych!

Br. Piłsudzki.

Wrażenia teatralne.

„Bogata Wdowa" Sommerset-Mangham'a.

Przedstawiona w ubiegły czwartek w Teatrze Letnim trzyaktowa komedja angielska Sommerset-Manghama „Mistress Dot" jest rodzoną siostrą „Lady Frederick" tegoż autora i nawet bardzo do niej podobną.

I tu, i tam za bardzo banalną fabułę sztuki, w której pewna pani koniecznie chce wyjść za mąż i... wychodzi, wynagradza nas autor angielski błyskotliwym, często złośliwym dowcipem, elegancją djalogu, pewną wytwornością angielską i owym delikatnym wdziękiem, który, jak puszek brzoskwiniowy, nie powinien być starty zbyt grubą ręką roboty aktorskiej.

Sztukę, wyzutą z treści wewnętrznej, wybrano z pośród utworów lit. angiel. i dano po sztukach Wilde'a i Shawa, prawdopodobnie w wykonaniu jakiegoś planu, według którego kierownik literacki naszego dramatu ma zamiar dramat prowadzić. Pragnąłbym bardzo, żeby plan ten przestał być tajemnicą, gdyż wybór sztuk dotychczasowy, każe przypuszczać, że istotnego kierownictwa niema, że kieruje wszystkim przypadek, że wystawiono sztukę cudzoziemską tę, a nie inną, gdyż przypadkowo gotowy jej przekład leżał najbliżej wyciągniętej ręki. W każdym razie wybrano dość nieszczęśliwie.

Lecz może chciano dać publiczności warszawskiej przykład stylu, rozbudzić w niej zamiłowanie do tego specjalnego tonu i w pięknym wykonaniu aktorskim wykazać delikatny wdzięk subtelnej ironji angielskiego pisarza? Może... Lecz czemu w takim razie nie zachowano tego stylu? Czemu w takim razie grano u nas „Bogatą wdowę" w stylu warszawskim? Czemu zdolnym naszym aktorom nie powiedzą, że ani Wilde'a, ani Shawa, ani nawet Sommerset-Manghama, nie wolno grać na pierwszorzędnej pono scenie w tym tonie, w jakim u nas grają? I znowu przypadek zrządził, że niema ani Ludowej, ani Siennickiej, których kreacje w podobnego rodzaju utworach były nieocenione, więc role p. Wortley grała p. Pichorówna, a lady Seelenger p. Horwath.

Panna Pichorówna doskonała w rolach charakterystycznych jest zbyt utalentowaną aktorką, żeby, jak to mówią w gwarze teatralnej, rolę zupełnie położyć. Lecz role salonowe nie leżą w jej charakterze. Szczera i bez zarzutu w rolach charakterystycznych, zbyt „ujawnia usiłowania" wytworności w rolach salonowych. Kreacje jej w tym zakresie są wskutek tych usiłowań nieszczere. Jej pani Wortley, chociaż tylko bogata piwowarka, była, wbrew intencjom autora i wbrew wymaganiom całokształtu sztuki, najwytworniejszą postacią wśród otoczenia, do czego bardzo niewłaściwie dopomogła reżyserja, powierzając rolę lady Seelenger pannie Horwath. Pięknie wyglądająca i w piękne koronki przybrana p. Horwath, niemiłosiernie podarła w strzępy koronkową robotę autora. Zabawny lord Blenkinsop w wykonaniu p. Wolskiego zbyt był zajęty podsłuchiwaniem suflera, wskutek czego przewlekał tempo i zacierał kwestje.

Najszczersze postacie stworzyli p. Kowalski i p. Lenczewski, pierwszy w roli kamerdynera, ostatni w roli młodego łobuza, Fredzia.

Jeżeli nie pomijamy całkiem uwagą błahej komedji Sommerset-Manghama, to jedynie dlatego, że w jej wystawieniu uwidoczniły się te same charakterystyczne objawy braku istotnego kierownictwa w dramacie u nas, co i w innych zbytnio reklamowanych lub niesłusznie „położonych" sztukach. Widzimy i postaramy się to uzasadnić, że w robocie naszego dramatu brak istotnego planu i wskazówek, że wszystkiem rządzi przypadek. Miljonowe miasto, posiadające jeden tylko teatr dramatyczny, musi mieć pierwszorzędne wykonanie wystawianych sztuk, a wtedy teatr mieć będzie zapewnione powodzenie. Tylko kie-

rownictwo dramatu nie może być zasypianiem u steru, chociażby w najszlachetniejszej pozie. Sterem należy poruszać. W przeciwnym razie, nie można się dziwić publiczności, że, zgodnie z wygłoszonym w świeżo wystawionej sztuce Sommerset-Munghama zdaniem, stokroć woli mądrego nicponia niż szlachetnego niedołęgę, i tłumnie chodzi na stale dobrze obsadzoną i doskonale wyreżyserowaną operetkę i farsę, zatracając coraz beznadziejniej zamiłowanie do sztuki poważnej.

Stanisław Czerski.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Trudno zliczyć wymysły i oszczerstwa, jakie sypnięto z obozu N.-D-ckiego na głowy postępowców, gdy ci w swoim czasie wykazywali, że polityka Koła w Petersburgu powinna być ściśle opozycyjna i lewicowa. Pod przewodem nacjonalistów, w ciągu 4 lat, delegacja polska w Dumie zdążyła wyczerpać wszelkie możliwe formy błędu, stosując naprzemian system „praw historycznych", zasadę „wolnej ręki" i politykę „siły", aby przejść bezpośrednio potym na teren igraszek neosłowiańskich i październikowskich „przetargów".

P. Dmowski wiódł Koło po manowcach i grzęzawiskach niechlubnych, bacząc usilnie na to, by wymijać zdaleka trakt „pryncypjów liberalnych". Gdy wreszcie p. Dmowskiego nie stało, puszczone samopas Koło poczęło się orjentować prostym zdrowym instynktem i wskutek tego znalazło się o wiele bliżej właściwej drogi, tuż obok wzgardzonych poprzednio liberalnych „pryncypjów". Niestety, ta spóźniona — i przytym niezupełna jeszcze — rehabilitacja *polityki postępowej* poprzedzona została tylu ciężkimi klęskami, że radość z tego powodu byłaby nie na miejscu. Przytym w obecnym swoim składzie, Koło jest nazbyt przepojone zachowawczą rutyną, by mogło odpowiedzieć godnie swemu zadaniu, choćby nawet chciało szczerze naprawić dawne błędy. Słusznie tedy powiada Ludwik Kulczycki w art. „*Dawna a przyszła polityka Koła polskiego*" (*Nowa Gazeta* Nr. 275) co następuje:

Postępowcy rosyjscy mogą głosować w poszczególnych wypadkach w Dumie razem z Kołem polskim, złożonym z narodowych demokratów, nie mogą jednak nie wiedzieć, że ci ludzie, co domagają się tolerancji, wolności w państwie, mają w kraju kolegów we własnym stronnictwie, którzy oskarżają fałszywie postępowe polskie szkoły ludowe (Kruszynek), oraz pisma, przeznaczone dla włościan (*Zaranie*). Narodowi-demokraci są zacofańcami z upodobania i instynktu, są przeciwnikami myśli postępowej.

Zresztą p. Dmowski i znaczna część jego przyjaciół. politycznych i dziś jeszcze, przy lada zmianie okoliczności, przy małych chociażby ustępstwach ze strony Guczkowa — gotowiby rzucić w jego objęcia. Kadeci i pokrewne im stronnictwa w Rosji wiedzą, że postępowcy polscy mają te same ogólno-ludzkie ideały, co oni, że, domagając się wolności i sprawiedliwości, są za jaknajszerszą tolerancją dla wszystkich, że we wszystkich sferach życia chcą iść naprzód Oczywiście więc zbliżenie się kadetów i innych, pokrewnych im stronnictw, z naszymi postępowcami byłoby głębsze, trwalsze, szczersze, oparte na wzajemnej sympatji ideałów. Zbliżenie się zaś tych stronnictw rosyjskich z narodową demokracją może być tylko oparte na zmiennym układzie sił politycznych w Dumie.

W każdym razie, nasze żywioły postępowe mogą tryumfować, widząc, że nawet ich zawzięci przeciwnicy, narodowi demokraci, po kilku latach doświadczeń, muszą wejść w kontakt z opozycją rosyjską, t. j. muszą obrać tę drogę, jaką oni im wskazywali.

Okazuje się więc, że „ta mała i nic nieznacząca grupa" postępowa przedstawia przecież pewną wartość, że wskazania polityczne, jakie dawała naszemu społeczeństwu, były pożyteczne, słowem, że spełniła swój obowiązek...

Niezawodnie dalszy bieg wypadków wykaże, że i na innych polach nasza myśl postępowa dobrze się orjentuje, że jest twórczą i że społeczeństwo nasze dobrze wyjdzie, idąc za nią.

Niezawodnie również, dodamy, Demokracja Narodowa zechce i na innych polach zeskamotować na swoją korzyść dorobek postępowy i kulturalny, podobnie, jak dziś eskamotuje zasługi postępowców w dziedzinie polityki państwowej. Dopóki obóz postępowy będzie przeciwstawiał zwartej organizacji zachowawców jedynie swą *ideologję* — póty będzie odnosił moralne tryumfy i polityczne klęski. Demokracja Narodowa nie ma żadnych zasad, żadnych idei, żadnych twórczych pomysłów, ma natomiast *organizację* i ta pozwala jej czerpać dowoli z naszych zasobów i żywić się naszym kosztem. Ten anormalny i wysoce dla nas ujemny stan rzeczy dłużyć się może w nieskończoność, o ile postępowcy nie zwrócą należnej uwagi na *kwestję organizacji*, która dotąd leży odłogiem. Ta sprawa nie cierpi zwłoki.

* Gnieźnieński *Lech* pismo bardzo żywotne i niezależne, które w życiu politycznym Poznańskiego odegrało już nieraz rolę wybitną, z racji ukonstytuowania się Związku narodowego w tej dzielnicy drukuje uwagi bardzo trafnie charakteryzujące i organizację samą i tło na którym powstała:

Ani w tym, co powiedziano, ani w tym, co napisano niemasz cienia oryginalności, żywotnej myśli, żadnego ożywczego hasła.

Co ma oznaczać niezmiernie silny akcent położony przez wszystkich mówców na konieczność wzmocnienia katolicyzmu? Niewiadomo, w kogo ten pocisk ma uderzyć? Zabór pruski jest jedyną ze wszystkich części Polski, do której antykatolickie zasady nie znalazły dostępu. W tym naszym pobożnym, potulnym Poznańskiem życie płynie takim cichym łożyskiem, że chęć wzmacniania katolicyzmu przypomina tekst pruskich praw wyjątkowych wydanych przeciw Polakom, a mówiących o konieczności wzmacniania niemczyzny. Jeżeli ktoś poza granicami Księstwa czyta przemowy inicjatorów nowego Związku wystawi sobie, że tutaj nie wypuszczają z ręki dzieł Woltera, Renana, Straussa, Haeckla, Nietzschego, Świętochowskiego, że nasze miasta i miasteczka począwszy od Poznania, skończywszy na Pogorzeli, zarzucone są siecią lóż masońskich i że Zw. Nar. trąbi na alarm i podejmuje walkę z Antychrystem. W Księstwie nie wychodzi ani jedno antyklerykalne pismo, natomiast *Przewodnik Katolicki* wychodzi w 40 tys. egzemplarzy i ma więcej abonentów, niż wszystkie polskie pisma razem. Dziewięć dziesiątych poznańskiej tak zwanej inteligiencji autorów dzieł antykatolickich nawet z nazwiska nie zna. Nawoływać do obrony katolicyzmu jest ze strony nowej partji walka z wiatrakami.

Zw. Nar. cierpi już w zarodku na ubóstwo myśli, na suchoty polityczne. Kto chce pozyskać lud, musi do niego się zbliżyć i nie porwie go za sobą prawiąc par distance mowę na temat: „módl się i pracuj". Lud żąda poświęceń i ofiar i umie odwdzięczyć się za ujmowanie się za nim, za pracę nad nim i za gotowość niesienia mu duchowej pomocy i pociechy. Lecz ta chęć nie odezwała się w tendencjach nowej partji Przeciwnie. Poza nutą katolicką przebija się lekka ironja na „niepowołanych obrońców ludu". Ten czczy i wytarty liczman już dawno stracił wartość. Gdyby lud nie miał tych niepowołanych obrońców" to dzisiaj mielibyśmy poddaństwo i pańszczyznę, liczenie majątków ziemskich nie na morgi tylko na dusze. Władzy nikt sam dobrowolnie nie składa i tylko „niepowołanym" zawdzięcza ludzkość, że skrzepnęła z siebie hańbę niewolnictwa. A więc i chęć roztoczenia opieki nad ludem ujęto w formę niezgrabną.

Wreszcie należy do żelaznego inwentarza naszych poznańskich „mężów stanu" widmo anarchji. Difficile est satiram non scribere! Związek Narodowy chce bronić pra-

cowite, szczerze katolickie, dorobkiewiczowskie, w cedułę giełdowych kursów wczytujące się społeczeństwo — przed ideałami przewrotu!

Szukalibyśmy napróżno choć jednej głębszej myśli w mowach programowych.

Związek Narodowy nie wyrobi w nas ani hartu duszy, ani mężkiej odwagi do życia. My dzisiaj wszystkiego się boimy. Boimy się obchodu grunwaldzkiego, dreszcze nas przejmują na uroczystości odsłonięcia pomników polskich bohaterów w Ameryce, ze strachu głosujemy za podwyższeniem listy cywilnej króla pruskiego:

Pod skrzydłami ojców Związku Narodowego będziemy się bać własnego cienia.

* W kronice łomżyńskiej *Wspólnej Pracy* znajdujemy długo, bo na trzech szpaltach opowiedziane dzieje pielgrzymki do Częstochowy. Zaistel podróż tak odległa i jej dzieje mogły wzruszać do głębi uczestników wyprawy, ale dla redakcji *Wspólnej Pracy* wyprawa taka mogłaby już nie być sensacją i dzieje udręki wielebnego ks. Rostkowskiego, który „pieszo dotarł do naczelnika stacji, odległej o $1^1/_2$ wiorsty od przymusowego miejsca postoju" mogłyby ku większemu pożytkowi pisma spocząć w koszu redakcyjnym, ku należytemu wytchnieniu.

Z prasy zagranicznej.

* Nie przebrzmiały jeszcze w prasie europejskiej głosy surowej krytyki wywołane najprzód projektem finlandzkim a potym pośpieszną uchwałą trzeciej Dumy znoszącą samoistny ustrój Finlandji. Prasa angielska od paru lat dość przychylnie usposobiona dla Rosji i usiłująca podtrzymać w opinji wiarę w jej wewnętrzne odrodzenie, w interesie popularności tak niezbędnego dziś dla Anglji porozumienia, — nie ukrywa gorzkiego rozczarowania i zniechęcenia, jakim ją ten niefortunny fakt polityczny napełnia. Obok wielu innych głosów znamiennym jest głos serdecznego przyjaciela Rosji, p. Steada, znanego pacyfisty, który w dobie konferencji haskiej głosił hymny uwielbienia dla jej wiekopomnej inicjatywy pokojowej. Oto co pisze w swym wielce poczytnym miesięczniku:

„Rząd rosyjski rozdrażniony protestami opinji europejskiej, zwłaszcza świata prawnego i handlowego, przyśpieszył przeprowadzenie finlandzkiego Billu przez Dumę. Niewątpliwie przykro jest, gdy nasza polityka wywołuje osłupienie sąsiadów i przyjaciół, nie jest jednak słusznym trwanie na błędnej drodze wyłącznie dlatego, że postronni błąd wytykają. Polityka Rosji naruszająca w jakikolwiek sposób status quo w Finlandji jest jednym z tych niepojętych szaleństw, które jej najlepszych przyjaciół do rozpaczy doprowadzać muszą. Rosja może mieć niezaprzeczone prawo poderżnięcia sobie gardła, lecz nie jest rzeczą rozsądną, z takiego prawa korzystać. Zadowolona Finlandja jest więcej warta dla Rosji niż korpus wojska, lecz tego rodzaju Finlandja, jaką wytworzyć musi Bobrikowska polityka ucisku, jest źródłem stałej słabości tak wielkim, że go na korpusy armji zupełnie wymierzyć niepodobna".

KRONIKA.

KONFISKATA. Został skonfiskowany numer 12 *Trybuny* za artykuł p. n. „Pod pręgierz historji".

FAUSTYNA MORZYCKA. Zmarłej w zeszłym miesiącu w Krakowie Faustynie Morzyckiej, nauczycielce i pisarce ludowej poświęciły obszerniejsze wspomnienia zarówno ludowe *Zaranie* jak narodowo-demokratyczna *Zorza*.

Autorka wielu dziełek popularnych, np. streszczonych opowieści o przygodach Robinsona Kruzoe, o Joannie d'Arc, życiorysów Benjamina Franklina, Wincentego Pola, J. Słowackiego i t. d., zasłużyła się sprawie ludowej głównie swą działalnością oświatową w założonych staraniem własnym szkole, ochronce dla dzieci i kursach wakacyjnych dla dorosłych pod Nałęczowem.

Urodzona w rosyjskim więzieniu, w turmie tambowskiej, (ojciec jej skazany został w 1863 r. na ciężkie roboty), F. Morzycka dziecięce lata spędziła na Syberji; ostatnie chwile swego życia przeżyła też na wygnaniu, gdyż po okresie „chwilowych nadziei i uniesień, klęsk i bólu zawodów" zmuszona była wyjechać z Królestwa.

W Nr. 22 *Zorzy*, kierownik jej, p. Brzeziński umieścił obszerny nekrolog z portretem zmarłej „tak nam wszystkim, całej *naszej rodzinie* i przyjaciołom blizkiej i ukochanej".

„Niemasz, pisze p. B., w Nałęczowie i wioskach poblizkich człowieka, któryby nie znał i nie kochał tej pięknej, miłością i dobrem przesiąkniętej duszy. Dzieci, młodzież i starzy nie nazywali jej inaczej, jak „Faustyna"... — „Jak tam Faustyna?" — „Gdzie teraz Faustynka?" — oto pytania, którymi lud okoliczny witał jej blizkich.

A pytali wszyscy z miłością i wdzięcznością za jej miłość i pracę serdeczną. .

Od lat młodzieńczych *ukochała lud*, uwierzyła w niego, — w nim widziała zbawienie Ojczyzny, która dla niej była wszystkim. Nawet w latach ostatnich, gdy jej duszę roztkliwioną a wrażliwą objęły na jakiś czas zgrzytliwe fale, łudziła się i wierzyła, że *robi to* dla szczęścia kraju... Prysły złudzenia, a w duszy został straszny zawód do ludzi i ból nieukojony".

Szkoda, że p. Brzeziński, pisząc nekrolog swej kuzynce, patrzał na jej stosunek do ludu przez pryzmat poglądów kierownika *Zorzy* i mierzył szczerością własnych uczuć niewspółmierną działalność człowieka z pod innego sztandaru.

Faustyna Morzycka wyrosła i zmarła „śród ludzi, znoszących wygnanie jako następstwo swych dążeń i usiłowań", a po jej zgonie nazwano te dążenia *złudzeniem* duszy *roztkliwionej*, którą objęły na czas jakiś *zgrzytliwe* (?) fale...

Czyż w obliczu śmierci przynajmniej nie mógł pan Brzeziński uszanować przekonań i uczuć zmarłej działaczki, której grzechem jedynym była miłość bezgraniczna i praca ofiarna dla ludu?

OFIARY.

Na Kolonje Letnie od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, I. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 1, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, L. Gorazdowski rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1. Ogółem rb. 45.

Na szkołę w Kruszynku: Dr. Zmitrowicz z Szestakowa rb. 1.

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwa „PRAWDY”.

Antoni Szech: **Na sąd was wzywam** Cena k. 30

Jerzy Kurnatowski: **O Solidaryzmie** „ 20

E. St. Rappaport: **Radykalizm** „ 20

Stefanja Sempołowska: **Z dna nędzy** „ 25

Antoni Menger: **Prawo do całkowitego wytworu pracy** „ 75

Popierana przez T-wo Kultury Polskiej

VIII klasowa Szkoła filologiczna
(z oddziałami realnymi)

M. KRECZMARA (założona przez Jana Kreczmara)

Kaliksta 8. tel. 75-31.

W roku szkolnym 1910—11 czynnych będzie sześć klas filologicznych, siódma realna i klasa wstępna. W razie napływu dostatecznej liczby kandydatów otworzona będzie klasa podwstępna.

Kancelarja przyjmuje zapisy codziennie, oprócz świąt, w godzinach szkolnych.

Egzaminy wstępne 25 sierpnia. Początek lekcji 30 sierpnia.

Wpis roczny wynosi: kl. podwstępna rb. 50, klasa wstępna rb. 80; I i II rb. 100; III i IV rb. 120. — Pozostałe rb. 130.

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50.**

Tom II: Tragikomedja prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona. Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb 1 k. 20.**

Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb 1 k. 20.**

Tom IV: Piękna, Aspazja. **Rb. 1 k. 50.**

Tom V: Trylogja Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. **Rb. 1 k. 50.**

Tom VI: Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 k. 50.**

Tom VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 k. 50.**

Tom VIII: Duchy. Część 4, 5 i 6. **Rb. 2.**

Do nabycia w Administracji *Prawdy.*

Prenumerata „Prawdy”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty)

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Przed słowiańskim świętem, przez I. Moszczeńską. — ODCINEK: Remy de Gourmont. Kultura idej — Tydzień polityczny. — Z powodu wychodźstwa, przez Ks Józefa Anusza. — NA DOBIE: Marcelina Kulikowska, przez zgd.—Amputacja D. Mereżkowskiego w Warszawie, przez L G. — Ponury tryptyk, przez L. G.— Odpolszczanie kresów, przez Agricola. — Dobra wróżba. — BADANIA NAUKOWE: W. James i pragmatyzm, przez J. Kodisową. — LITERATURA I SZTUKA: M łość Platońska, przez Bolesława Leśmiana. — Piosenki „Młodych Chin“, przez Br. Piłsudzkiego. — Wrażenia teatralne, przez Stanisława Czerskiego. — Z PRASY: Z prasy polskiej. — Z prasy zagranicznej. — Kronika. — Ofiary. — OGŁOSZENIA.

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.